№ 37 Warszawa, dnia 30 Sierpnia (11 Września) roku 1880.



I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop 50. Numer pojedyńczy kop. 15. Przedpłata dla GALICYI wynosi we LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu złr. 3 na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 c 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwar. w miejscu złr. 2 c. 75 na prowincyi złr. 3 c. 50.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni LEITGEBERA i S-ki kwart w miejscu prenumerata wynosi marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Chmielnej Nr. 1530 (nowy 20).

ZŁOTY LOS!

przez Martę.

Stary mazur w skrzypkę utnie,
Skrobnie w kwintę, urznie w bas!
Stary mazur gra okrutnie:
Wszystkie struny brzękły wraz!
Aż się trzęsie broda siwa
Strzępią wąsy, serce drga!
A dziewczyna głową kiwa,
A w dziewczyny oku łza!

—Hej dziewczyno! hejże dana!
Czego stoisz smutna ty,
Kiedy skrzypka grzmi do tana
Z podkóweczek lecą skry?...
Stary mazur wciąż przygrywa,
Pyta, krzyczy, piersi rwie,
A dziewczyna głową kiwa,
Bo nie pójdzie tańczyć, nie!...

Tupnie mazur, niby grzmotem
Huczy: „Grajże! to mi rzecz!...
Nie chcesz skakać, ty niepotem?
Idźże z oczów zaraz precz!
A dziewczyna twarz zakrywa,
Łzy otarła: dobry znak!
A dziewczyna głową kiwa
I do grajka rzecze tak:

Ha! wy losy! czarne losy!
Stary grajku łając grzech!
Czarna wstęga zdobi kosy:
Oj, nie dla mnie tan i śmiech!
Bom sierota, bo mnie wola
I nasłania wiąże moc,
Bo mi ciężka, czarna dola
Świat zaklęła w grób i noc!...

Idę czasem czarnym lasem,
Patrzę... czarny wschodzi kwiat!
Idę światem... zimą, latem,
Zawsze smutny, czarny świat!
Wicher wieje, schną nadzieje,
W gęstwi czarny syczy wąż!
Ja łzy leję, świat się śmieje
I oczernia tylko wciąż!...

Nie przytuli dłoń matuli!
Do zamkniętych pukam wrot...
Nikt nie wita, nie zapyta;
Pukać, stukać, próżny trud!
Więc nie zwlekam i uciekam,
Czarna dola za mną tuż!
Ból mnie nęka, serce pęka,
Oj, rozpęknie chyba już!...

Wpada mara, wiedźma stara:
Włosy rude, oczy wskos!
W śmiech!... rozpłonie, klaśnie w dłonie
I w chrapliwy krzyknie głos:
—Wiem ja, o wiem co ołowiem
Cięży w sercu, że aż strach!
Ej, nie doli cierń ją boli,
Tylko zwodny dręczy Stach!...

To mi główka, jak makówka!
Choć pokochał wziąć nie chce...
„Ba! co zrobię, szepcze sobie,
Gdy się biedy złączą dwie?"
Koło chaty Małgorzaty
Ciągle włóczy się jak ćma.
Z tą sierotką żyć by słodko,
Tamta zła lecz... wiano ma!...

Ot, chłopacy wszyscy tacy!
Oko tutaj, serce tam!...
Porzuć zdrajcę, winowajcę!
Ja ci zań droższego dam,
Panią będziesz, wszerz zasiędziesz
Złoto-lity szczęścia tron!
Niech powoli, w czarnej doli,
Że cię stracił, zginie on!...

Pośpieszże się! w czarnym lesie,
Rwij, odkląwszy czarów krąg,
Ziółko złote co w sobotę
Kwitnie nocą w złoty pąk.
Grom hałaśnie z góry trzaśnie,
Aż ze strachu wstanie włos!
Dola krzyknie raptem zniknie,
Z pączka złoty błyśnie los!...

To pan wielki, człek mu wszelki,
Gdy go zoczy, brzdęk do stóp!
Lub nie pyta, za dłoń chwyta;
Więc tak samo dziewczę zrób!
„Jasny panie, co w żupanie
Złotym, rzeknij, świecisz nam,
Pójdź z sierotą, ja z ochotą
Całe serce tobie dam!...

On w trzos brzęknie, bardzo pięknie
Czapkę z głowy! dalej w tan!
Niechże widzą ci co szydzą
Że cię wiedzie jasny pan!
Grzmi kapela do wesela,
Każdy z tobą tańczyć rad;
A sierota lśni od złota,
Aż z zazdrości pęka świat!...

I cóż z tego? ty się z niego
Tak zaśmiejesz jak on śmiał;
Los ci będzie, zawsze, wszędzie
Złote kwiatki w drodze siał,
I zawiedzie w złote progi

I dowiedzie nie na żart,
Że twój drogi Stach, ubogi,
Nawet grosza dziś nie wart...

Tylko cicho!... niech śpi licho!
Chcesz-li by się udał czar,
Grom zabłysnął, los nie prysnął?
Zgaś uczucia święty żar!
W piersi serce twe uśmiercę,
Wydrę, zmrożę. Co po łzach?...
Skarg, tęsknoty, szczero-złoty,
Oj, nie cierpi jasny gach!...

Jemu trzeba za kęs chleba,
Za grosz miły miłą być
I dla niego tu samego,
Duszę oddać, skakać, żyć.
Równą spłatą, za bogatą,
Jasną dolę, żąda w głos,
Ten bez serca, serc morderca,
Wszystkie w złoty zamknąć trzos!. .

Nie patrz w ziemię! ciężkie brzemię
Czarnej doli na bok zrzuć!
Wzgardźże tymi ludźmi złymi,
Panu swemu wdzięcznie nuć!
Wszędzie serce w poniewierce;
Lżej bez niego! Powiesz wnet:
„Czarny świecie! teraz przecie
Oddam tobie wet za wet!

Prędzej! prędzej! już po nędzy!
Lodem skrzy się chłodny wzrok,
Patrzysz hardo, witasz wzgardą,
Szumny, dumny stawiasz krok.
Błyska! świta! los cię pyta:
„Gdzież twe szrce?... pokaż mi!“
„Złoty losie! w twoim trzosie!“
I tańcujesz znów, aż grzmi!...

—Rada marna! niech mi czarna
Dola czarny ściele grób!
Abym cała nie jaśniała
Jak zmrożony stygnąc trup.
Już ja wolę cierń co kole,
Niż wdeptany w błoto kłos!
Serce wolę wprządz w złą dolę,
Niż za złoty sprzedać los!...

Stary mazur, jak skra żywa,
Skoczył, skrzypkę zatnie wraz!
Stary mazur w takt przygrywa,
Aż się urwał raptem bas!...

OWOC ZAKAZANY.

Komedya w jednym akcie wierszem,
oryginalnie napisana
przez
Ludwika Niemojowskiego.

OSOBY:

Bojomir Rembosz,
Henryk, synowiec Bojomira,
Marek Zięba,
Janina, córka Marka,
Alfred Letkiewicz,
Maciej, stary sługa,
(Rzecz dzieje się w Warszawie).

(Scena przedstawia salon: z prawej strony drzwi do pokoju Marka z lewej do Janiny, we środku główny wchód).

Scena pierwsza.

Henryk, Janina.

Henryk.

Milczysz? spoglądasz na mnie tak łzawo, tak smu-[tnie?
Zlituj się jedno słowo, ja cierpię okrutnie,
Jedno słowo, przez litość!

Janina (chcąc odejść).

Puść mnie, odejść pragnę.

Henryk (zatrzymując).

Janino, wszystkie myśli do twych zachceń nagnę,
Kwiatem uczuć zaścielę życia twego drogę,
Lecz daj mi cień zachęty, pomocy...

Janina.

Nie mogę.

Henryk.

Nie możesz, dlaczego?

Janina.

Bo czuję, że trudno
Mamić cię lekkomyślnie nadzieją ułudną,
Kiedy serce me milczy.

Henryk.

Dobrze, idź Janino,
Nie licz tych łez rozpaczy, co z mych oczów płyną,
Zostanę sam z mym bólem.

Janina (wzruszona).

Słuchaj, pośród osób
Drogich mi, ciebie mieszczę. Rozejść się w ten [sposób
Niepodobna. Ja wszystko powiem ci otwarcie,
Byś wyczytał myśl moją na tej białej karcie,
Która w wieku dziecięcym jest życia przedmową:
Wychowano nas razem; każde nasze słowo,
Każdy czyn, zamiar, pogląd, wiązały się społem,
I czy to w łzie strapienia, czy w śmiechu wesołym,
Byliśmy jak rodzeństwo...

Henryk.

O! tak.

Janina.

Niby we śnie
Krocząc ścieżką żywota, doszliśmy zbyt wcześnie
Do stanu, co przyjaznem bogacąc zasobem,
Bratnich uczuć zawiązek jest miłości grobem.

Henryk.

Boże! a więc ta spójnia miasto ogrzać serce,
Ma stłumić ogień święty w promiennej iskierce?

Janina.

O kochany Henryku, spojrz tylko na ciszę,
Która w ciągłym zastoju myśl naszą kołysze,
Na ten spokój niezmierny, bezbarwny, jałowy,
Zawsze blady i ckliwy, zawsze jednakowy;
Czyż przy nim może silniej zabić serca tętno,
Zmieniając prąd przyjaźni na miłość namiętną?
Nie, to rzecz niepodobna. Ja cenię twą duszę...
Lecz żoną być nie mogę... Wszak przebaczasz?

Henryk.

Muszę.

Janina.

Więc nie gniewaj się na mnie i przyjmij mą rękę
Na znak zgody. Tak, dobrze, a kiedyś podziękę
Złożysz mi za otwartość.

(odchodzi).

Scena druga.

Henryk (sam).

Henryk.

Wszystko więc stracone!
Te ułudne marzenia w duszy wypieszczone
Dziś są tylko wspomnieniem! Stryj mój ma tu, [właśnie
Przyjechać, co mu powiem, jakże go objaśnię?

Scena trzecia.

Henryk, Bojomir, Maciej.

Bojomir (do Macieja).

Złóż ten tłomok tymczasem, a gdy mi mieszkanie
Przygotujesz, przyjdź później...

Maciej (odchodząc).

Dobrze jaśnie panie!

Scena czwarta.

Henryk, Bojomir.

Bojomir.

Otóż jestem synowcze, do stu fur kartaczy!
Zleciałem kawał drogi, lecz to nic nie znaczy,
Zdrowie służy mosanie... No kiedyż wesele?

Henryk.

Drogi stryju, posłuchaj...

Bojomir.

Rzuć te ceregele,
I powiedz mi odrazu, krótko, węzłowato,
Kiedy ślub, bo ja kości swych nie tłukłem na to
Po wertepach, by czekać na veni creator
Rok cały, jam za się mosanie domator
I wyjeżdżać nie lubię.

(po chwili).

Asan kręcisz nosem,
I milczysz patrząc na mnie z pode łba ukosem...

Henryk.

Rzecz trudna...

Bojomir.

Sacrebleu! co to wszystko znaczy?
Mów do stu piorunów...

Henryk.

Stryju, jam w rozpaczy!
Janina odmówiła.

Bojomir.

Czego?

Henryk.

Swojej ręki.
Nie chce mnie.

Bojomir.

A ty?

Henryk.

Ja... oh! srogie cierpię męki.

Bojomir.

Furda! każdej pannie zwykle w głowie świta,
Niby to, niby owo... droży się i kwita;
Chce by ją szturmem zdobyć niby fort obronny...

Henryk.

O przyjaźni mi długo mówiła dozgonnej,
A potem pożegnała jak brata.

Bojomir.

W tem właśnie

Jest sęk i to niemały...

(na stronie)

Niech mnie piorun trzaśnie
Jeżeli co rozumiem. Chłopiec niby lala,
Wygląda jak obrazek wycięty z żurnala,
Przytem ma niezłą wioskę, intratny folwarek,
A to pieszą nie chodzi...

(głośno)

A co mówi Marek?

Henryk.

Jej ojciec? on nic nie wie.

Bojomir.

Zbiera stare graty;
Porcelanę, pieniążki, różne numizmaty,
I wertując wciąż grube księgi in octavo,
Nie myśli własnej córki zajmować się sprawą.

Henryk.

Tak stryju, on się często u siebie zamyka...

Bojomir.

A od czasu gdy stary dostał tego bzika,
Siedzi nad rupieciami lub też skorup stosem,
Nie wiedząc co się dzieje u niego pod nosem.
Pojmuję. Teraz słuchaj co powiem kochanku:
Widziałem twą pannę siedzącą na ganku,
Idź do niej i przy zręcznej rozmowie z dziewuszką,
Zbadaj czy jaki gaszek nie wlazł jej w serduszko,
Bo to wszystko być może—a spisz mi się ładnie!
Ja tymczasem znów papę wybadam dokładnie...
No idź już...

Henryk.

Idę stryju.

Bojomir.

Otóż on nadchodzi.

Scena piąta.

Bojomir, Marek.

Marek (wychodzi ze swego pokoju trzymając grubą księgę w ręku, i mówi na stronie).

Pierwsza kartka wydarta, lecz to nic nie szkodzi,
Zawsze elwir, unikat...

(spostrzegłszy Bojomira).

Czy mnie wzrok nie myli?
Bojomir!

Bojomir.

Marek!

Marek.

Witaj!

Bojomir.

Przybyłem w tej chwili
Do ciebie, nie chcąc nająć mieszkania w hotelu.

Marek (ściskając go).

A niechże cię uścisnę drogi przyjacielu,
Zawsze zdrów, zawsze dziarski.

Bojomir.

Tak, siły dość służą,
Ale tyś mi spasował.

Marek.

Pracowałem dużo
By ochronić pamiątki przeszłości od straty,
Wydarte pleśni czasu.

Bojomir (na stronie).

Różne stare graty
Torby sieczki nie warte.

Marek (pokazując książkę).

Ot szacowne dzieło,
Które mówi nam o tem co dawno minęło,
Kruk biały, dziś go właśnie przypadkiem dostałem.

Bojomir.

Czarnych kruków nie lubię, białych nie widziałem,
Nie o tem więc tu mowa. Jeszcze przed godziną
Myślałem, że wesele Henryka z Janiną
Jest rzeczą niezawodną...

Marek.

I ja tak sądziłem.

Bojomir.

A ufny w dane słowo na ślub ich przybyłem.
Tymczasem córka zrywa, mój Henryk w rozpaczy,
Jam zły... powiedz mi Marku, co to wszystko znaczy?

Marek (odchrząknąwszy).

Mam trzy siostry...

Bojomir.

Aż tyle?

Marek.

Dwie z nich panny stare...

Bojomir.

Winszuję...

Marek.

Jedna wdowa...

Bojomir.

To przechodzi miarę,
Czy chcesz mnie z cierpliwości wyprowadzić granic?

Marek.

Zważ tylko co ci mówię...

Bojomir.

Nie chcę zważać na nic,
Dopóki nie wyjaśnisz...

Marek.

Zaraz ci wyjaśnię;
Oto moje trzy siostry prosiły mnie właśnie,
Przed parą kwartałami, abym mej Janinie
Pozwolił jaki miesiąc spędzić przy rodzinie;
Pozwoliłem, bo przecie odmówić nie sposób,
Odwiedzenia tak blizkich pokrewieństwem osób.

Bojomir.

I cóż z tąd?

Marek.

Bądź cierpliwym. Obie stare panny,
I wdowa mają zwyczaj niezmiernie naganny,
Mieszać się w cudze sprawy. W domu swych ciotek,
Janina oprócz piesków, papug, małp i kotek,
Widziała młodych ludzi: baby romansowe,
Pewno jej rozmaitych głupst nakładły w głowę,
O gorącej miłości, własnej woli serca,
A dziewczę od ślubnego stroni dziś kobierca,
Łudząc się czczem marzeniem.

Bojomir.

Lecz do stu fur beczek!
Tyś ojciec, i gdy w głowę wbili jej ten ćwieczek,
Wyjąć go należało bez dalszej frymarki.

Marek.

Tak chciałem, lecz mi właśnie przyniesiono...

Bojomir (kończąc).

Garnki!
Albo jaki pieniążek z czasów króla Piasta?
Sakrebleu mosterdzieju, zżymam się i basta!

Marek.

Gdybyś wiedział...

Bojomir.

Wiem dobrze, że antykwaryusza,
Stara tylko skorupa do czynów porusza.

Marek.

Gniewasz się?

Bojomir.

Bo jest za co.

Marek.

Lecz ja pragnę szczerze
Połączenia tych dzieci.

Bojomir.

Pragniesz? Bardzo wierzę,
Ale nie wiesz co począć.

Marek.

Tak, niby.

Bojomir.

Więc kolej
Na mnie koncept wymyślić, bo mam w głowie olej,
Pomnisz, pod Samosierra z jak ciężkich kłopotów
Wydobyłem mój szwadron. .

Scena szósta.

Ciż i Maciej.

Maciej.

Pokój pański gotów,
Przyszedłem po tłomoki...

Bojomir (do Marka).

Gdyby tego grzyba
Wziąć tak na konfessatę—wygada się chyba,
Albo co?

Marek (podobnie).

On nic nie wie.

Bojomir (podobnie).

Nie ufaj dziadowi,
Zawsze coś zwietrzy, zwącha i czegoś się dowie,
Tacy lubią podsłuchać czasem pode drzwiami
I zgadnąć co się święci...

(do Macieja głośno)

Czekaj z tłomokami,
Wyjmę z tąd pewien prezent dla panny Janiny.

(szuka w kuferku).

Marek.

Dzięki za nią Majorze...

Bojomir (wyjąwszy czepek).

To na oczepiny:
Wyglądać będzie w czepcu siarczyście i gracko!

(do Macieja)

No stary daj przymierzyć...

(włożywszy mu na głowę czepek)

Wszak to istne cacko!

Maciej.

He! he! he! pan żartuje..

Bojomir (do Marka).

Rozegziłem mruka,
Mam go już.

Marek (podobnie).

A więc sądzisz...

Bojomir.

Że znajdzie kto szuka.

(do Macieja zdejmując mu z głowy czepek)

No jakże, czy do gustu twej pani podarek?

Maciej.

Gusta panie są różne...

Bojomir.

Tak mówił pan Marek,

Lecz ja myślę że każda chętna do ołtarza.

Maciej.

Bywa tak, bywa owak...

Bojomir.

Chyba że się zdarza

Coś co zgadnąć nie można.

Maciej.

Są takie wypadki.

Bojomir.

Powiedz mi, wszak jeździłeś z panią na ostatki

Do ciotek. Czy wesoło czas swój tam spędzała?

Maciej.

Tak sobie: to chodziła, to sobie czytała,

Czasem też kto przyjechał...

Bojomir.

Któż taki?

Maciej.

Sąsiady.

Pan Bronisz z Małej Wólki, pan Kolski z Zawady,

Dwóch starych kawalerów...

Bojomir.

Nikt więcej?

Maciej.

Niekiedy

Pan Alfred...

(zatyka sobie usta dłonią).

Bojomir.

A! pan Alfred.

(do Marka)

Tu jest źródło biedy.

(głośno)

Ów letkiewicz, ów pustak, znam go doskonale.

(do Macieja)

Lecz czemuś się zająknął...

Maciej.

Nie jąkam się wcale.

Bojomir.

Mój poczciwy Macieju, wierny domu sługo,

Ty coś wiesz, a więc powiedz i nie marudź długo,

Będziem ci szczerze wdzięczni.

Maciej.

A cóż stary może

Wiedzieć? Ot panicz sobie siadywał we dworze

Całemi godzinami, z panienką chichotał,

Jednej ciotce psa karmił, drugiej nici motał,

I więcej nic nie było... dopiero tu w mieście...

Bojomir.

Co? jak? gdzie?

Maciej.

List mi wsunął do panny...

Bojomir.

Nareszcie

Dowiem się, i cóż dalej?

Maciej.

Wetknął mi go zdradnie,

Ja myślę: w tę się sprawę mieszać mi nie ładnie,

Więc oddam jegomości, lecz w tę chwilę pono

Jakiś dzbanek ogromny panu przyniesiono.

Marek (oburzony).

Chiński wazon profanie, to się wielce ceni!

Maciej.

Więc myślę, pan zajęty...

Bojomir.

Lecz gdzie list?

Maciej.

W kieszeni.

Bojomir.

Daj prędzej i idź sobie, a nie mów nic o tem.

(Maciej odchodzi).

(d. n.)

Z WYCIECZKI

Na Święty Krzyż i w Kieleckie.

Kilka wspomnień

spisał

Juliusz Chodorowicz.

(Dokończenie).

Mrok już zapadał, gdy panoramie przyglądaliśmy się Kieleckiej. Opodal ukazywała się nam pokryta lasem Karczówka, z kościołkiem na szczycie. Niżej na płaszczyźnie, szeroką rozwija się wstęgą starożytny gród Biskupi... Koniki nasze zwolniły biegu — przecieżeśmy w mieście! W kramach blade migotają światełka, kręci się po ulicy trochę żydków i różnej gawiedzi. Dalej na „Wielkiej ulicy“ ruch się wzmaga, gwarniej tu już i weselej.

Kielce żyją jakoś. Cała połać porządnych piętrowych domów. Z cukierni i *restauracyi* struga światła bije na ulicę.

Niewielkie to miasteczko ale czyste i porządne. Długie lata, jako w grodzie biskupim, niewolno tu było osiedlać się żydom—nie wiemy czy i jak handel kwitnął podówczas — to pewna, iż Olimpijski spokój jaśniał na czole każdego z obywateli... Przenocowawszy w Saskim hotelu, rannych parę godzin poświęcamy na zwiedzenie katedry, zamku, „Saskiego ogrodu„ i t. d. Starożytna katedra kielecka, wspaniały to zabytek architektury z XII jeszcze wieku. Co tu wspomnień na każdym kroku! Ileż to promiennych. ile smutnych i wzruszających scen w przeszłości świadkiem były mury te odwieczne! Pełno tu nagrobków z XVI, XVII i XVIII w. Bogate ołtarze, kilka artystycznej wartości obrazów, szerokich wymagałyby opisów—my, przelotne jeno zaznaczamy wrażenia.

Zmarły w 1870 r. Biskup Dyecezyi Kielecko-Krakowskiej, Majerczak, szczególnie pono miłował katedrę tutejszą. Znać też w świątyni ślady ręki pobożnej i stare umiejącej szanować pamiątki. Portret ś. p. Majerczaka w biskupich insygniach, w ramy kutego w marmurze wprawiony nagrobku, zdobi ściany jednej z naw kościoła. Z katedry wstępujemy na chwilę do „Ogrójca“, wdzięcznej i skromniutkiej kapliczki. W obrębie leżąca kościelnym, tuli się kapliczka pod skrzydła poważnej świątyni, niby bluszczu gałęź, dokoła wysokiego wijąca się dębu. Pobożni są widocznie Kielczanie, skoro o tak wczesnej godzinie znaleźliśmy ich tu niemałą gromadkę modlącą się u stóp ołtarza z wizerunkiem Chrystusa na krzyżu. Dawny zamek tutejszy, przeznaczony, jak wiadomo, na pomieszczenie władz sądowych, posiada przepyszną salę portretową pasterzy krakowskich—godną zwiedzenia.

Przechodząc tretuarem po Wielkiej ulicy, zajrzeliśmy do kościołka Św. Trójcy. stanowiącego jakby jedną całość z potężną budowlą, mieszczącą w sobie Seminaryum dyecyzalne, mieszkanie Biskupa i Gimnazyum miejscowe. Starożytna to również świątynia, kilka w niej niezłego pędzla obrazów ŚŚ. kilka nagrobków. Tutaj młódź szkolna i wychowańcy Seminaryum, nabożeństwa słuchają w niedziele i święta. Bliziutko już ztąd do ogrodu publicznego, widać go niemal z ulicy—zajdźmyż więc na chwilę. Ogród prześliczny, ze smakiem i znajomością sztuki urządzony. Główna alea staremi wysadzona drzewami, wyżwirowana, śmiało może rywalizować z takowąż w Saskim ogrodzie, w Warszawie. Czyściutko tu wszędzie i na bocznych uliczkach pełno zieleni, grządek z kwiatami, trochę roślin rzadkich i krzewów. Sporo też ławeczek w aleach, do wytchnienia publiczności służących.

Powiadają: „komu w drogę, temu czas“ — toż i my, puszczamy się do Chęcin. Słoneczko wysoko się już wzbiło na horyzoncie, błękitu pogodnego nieba ani jedna nie zakłóca chmurka. Żegnajcie Kielce, pozdrowienie uroczym kielczankom! Widzieliśmy niejedną z was w ogrodzie — z książką w ręku, na ławeczce. Może się obawiacie, czyśmy westchnienia jakiego waszego nie sprofanowali ironią lub żartem niewczesnym, łezki albo-li też ziewania nie podpatrzyli ukradkiem?... Bądźcie spokojne.. w kodeksie turystów dyskrecya *avant-tout*,.. Pędzimy tedy szosą krakowską, gładko, równo, jak po asfalcie—a co za przepyszny krajobraz dokoła. Bukiety drzew otaczają nas, gdzieniedzie wioseczka majaczeje nieopodal pod lasem, tu znowu łączki rozkoszne zieloną ciągną się smugą. wiatraki skrzydlate wyciągają do nas ramiona. Mijamy Białogon —sławne niegdyś górnicze Zakłady bankowe, prędko, niepostrzeżenie upływają nam chwile, i oto już Zgórsko—mała wioseczka przy szosie. Halt! woła na nas żydek jakiś w chałacie; należy się mostowe. Spuszczają wreszcie szlaban i przejeżdżamy most na „Trupieńcu“.

Ktoby się też spodziewał, patrząc jak rzeczułka spokojnie sine swoje toczy wody, iż ongi, przed laty wielu, w falach jej tyle się trupa nagromadziło, że aż „Trupieńcem ją ztąd nazwano. Za panowania Jana Kazimierza, gdy Szwedzi dzielną pomoc w wichrzących znajdując „królewiętach“ srodze grasowali po kraju, Krakowskie widownią nieraz bywało walnych bitew i pomniejszych utarczek. Warchoły, w inicjałach nawet samych królewskiego imienia kazuistyczne upatrujący *omen* (J) neipit (C) alumitates (R) egni, roznіecali coraz bardziej zarzewie wojny domowej. W cichej tedy wiosczynie starostów Chęcińskich spotkali się *królewscy* ze Szwedzką rajtaryą. Po krwawej potyczce, szala zwycięztwa na polską się przechyliła stronę. Szwedzi, na głowę porażeni, w małej zaledwie zejść zdołali garstce. Ciała zaś pobitych, potokiem krwi brocząc rzeczułkę, setkami w jej spoczęły nurtach. Tyle o „Trupieńcu“—niewesoło się robi na duszy, ciężkie te przypominając chwile. Ale oto niebawem, ukazują się nam w dali, ze szczytów marmurowej skały, ruiny zamku Chęcińskiego. Śpieszymy... i jużeśmy w samem miasteczku.

Stolica marmurów, miejsce tylu uświęcone wspomnień dziejowych, niezbyt się nam ponętnie przedstawia. Lichaż bo to i brudna mieścina. Mijam

jedną ciasną, najniesymetryczniej ile być może zabudowaną uliczkę, dalej takiż sam rynek, znowu uliczki kręte, na pochyłościach wijące się wzgórza, aż wreszcie w drugim już rynku, u dobrego nasze go zatrzymujemy się znajomego — przed apteką. Ksiądz, doktór i aptekarz, toć tryumwirat miasteczkowy. Tu się koncentruje wszelki objaw ruchu społecznego i życia umysłowego — tu podążają oświeceni i prostaczkowie w cisnącej ich potrzebie.

Ale parę dni już tylko przed nami, wracać trzeba na swoje śmieciska... by żyć dalej... i walczyć.

Spocząwszy trochę i o wielu a wielu nagadawszy się różnościach, po obiedzie wyszliśmy wraz z Aptekarzem i stale towarzyszącym mi Nemrodem, w marmurowe skały... na przechadzkę. Trzebaby malarzem być raczej... Ruisdailem jakim, lub choć Szermentowskim naszym, nie zaś zwyczajnym sobie skrybentem, by pokusić się tak kapryśną a piękną więzić na papier naturę. W istocie, skoro się wdrapiesz w marmurowe groty, a dalej jeszcze, wązkim w ruiny zamku przeciśniesz się otworem, stajesz zdumiony. Pejzaż cudny, nieporównany! U podnóża skały leżące miasteczko, wianuszkiem okalają sąsiednie folwarki i sioła. Trochę dalej, srebrną wstęgą się toczą bystre fale przeżynającej okolicę w różnych kierunkach krakowskiej Nidy. Wąziutkim obok paseczkiem, w najfantastyczniejszych wije się zygzakach szosa, przez Jędrzejów, Wodzisław i Michałowice, prowadząca do Krakowa. Znużeni samem już gramoleniem się na szczyty skaliste, z papierosem w ustach wypoczywamy na murawą porosłym, jednym z dziedzińców zamkowych. W przedzielonych krużgankami, jedna od drugiej, ruinach baszt. dziwnie wyraźnie rozlega się echo. Z jednej z baszt, waziątkim spuszczając się przesmykiem, przechodzi się w podziemne korytarze warowni, komunikującej się pono ze starożytnym kościołkiem parafialnym. Wspaniała to być musiała i groźna w swoim czasie budowla, ten zamek Chęciński skoro ruiny jeszcze jego tak zdumiewają wędrowca! Zamek tutejszy w przeszłości uważano za niezdobyty, w chwilach bowiem niebezpieczeństwa, zagrażającego państwu, z Krakowa tu przewożono skarby koronne do przechowania. Tu Władysław Łokietek w 1331 r. zwołał sejm, którego ustawy wielkiego się doczekały uznania w dawnem prawodawstwie polskiem. Przebywali tu królowie i książęta: Jan Olbracht, Zygmunt I, Fryderyk Jagiellończyk; najdłużej jednak, sprawując rządy państwa, gościła na zamku Chęcińskim Elżbieta, matka Ludwika Węgierskiego króla. Pod koniec XIV w. czas jakiś osadzano tu na skale więźniów stanu wedle uznania monarchy, w XVI w. zostaje zameczek mieszkaniem starostów grodowych, mieści się w nim kancelarya, akta grodzkie i t. p. Zniszczony w wojnach szwedzkich 1655 — 1657 i 1707 r. ostatecznie przestał już być mieszkalnym, powoli obracając się w ruinę.

Snując się tak po zamczysku, po skarpach skacząc i wyłomach, zsunęliśmy się wreszcie w niższą część wzgórza. Ztąd, jarem wciąż jeszcze skalistym, skierowaliśmy kroki nasze ku Podzamczu— wioszczynie o parę coś wiorst odległej od Chęcin. Ustając potrochu na siłach, za jakie pół godzinki pod cieniem już starego wiązu odpoczywaliśmy w ogrodzie. Urocza to miejscowość — Podzamcze, zaniedbana jednak i opuszczona nad wszelki wyraz.

Kiedyś w XVI-ym jeszcze w. Podzamcze, własnością będąc sławnego w dziejach Piotra Kmity Wojewody krakowskiego, marszałka W. koronnego, znamienitych, bo królewskich, przyjmowało gości. Tutaj, w istocie, niejednokrotnie przebywała Bona, intrygująć wraz ze smutnej pamięci możnowładzcą przeciwko królowi i Senatowi. Ruin wprawdzie żadnych nie masz śladów w Podzamczu, znajdujący się atoli w ogrodzie stary dworzec jakiś piętrowy zamieniony dziś na śpichrz i lamus, pozwala wnioskować, że niegdyś, w odmiennej szacie, mógł być jedną z rezydencyj najbogatszego z panów ówczesnych. Wspaniała alea lipowa w ogrodzie, kończy się imponujących rozmiarów bramą tryumfalną z armaturami i herbem Sobieskich—Janiną. Miała być ona wzniesioną, wedle przechowującej się tu tradycyi, w 1683 r., gwoli uczczenia powracającego z pod Wiednia wielkiego pogromcy Turków — króla Jana. Bramę wysoką w kształcie łuku, z cegły i kamienia, wieńcami i trofeami zawieszoną, przechodził pono cały hufiec polskiego rycerstwa z bohaterem Chrześciaństwa na czele. Piękne zaiste wspomnienie! Obejrzeliśmy jeszcze dorywczo stary dom mieszkalny — w jednej z sal jego widzieliśmy portrety Stefana Batorego i Jana III-go oraz kopią z obrazu Włoskiej Szkoły „Śmierć Seneki," oryginał, wraz z wielu jeszcze innemi, pozostałemi tu z dawnych czasów płótnami, nabył i do swoich w Kielcach przeniósł kollekcyi, Zieliński.

Niestrudzony to był i nmiejętny zbieracz — odgrzebać umiał zawsze perłę w popiele. Namiętność jego i spryt w gromadzeniu prawdziwych dzieł sztuki, porównaćby jeno można z miłością dla ksiąg i intuicyą w poszukiwaniu elzewirów... inkunabułów Czackiego. Oglądaliśmy jeszcze dnia następnego starożytny kościołek parafialny w Chęcinach. Zbudowany w XIV lub na początku XV w. w stylu gotyckim, posiada kościołek misternie rzeźbiony, marmurowy ołtarz ukrzyżowanego Chrystusa. Twórca arcydzieła wspomnionego, w XVII żyjący w., włoch w Polsce osiadły — Fotigo, dobrze się zasłużywszy Chęcinom, w podziemiach spoczął kościelnych. Napis w języku łacińskim, wstęgą opasujący nawę kapliczki, mianuje Fotigo obywatelem Chęcińskim.

Zawdzięczając uprzejmości Wikarego tutejszego, zakonnika reguły S. Franciszka, zeszliśmy i do sklepów pod kapliczką. Leżą tu zwłoki pobożnego rzeźbiarza i małżonki jego—jak najlepiej zachowane. Olbrzymiego snać był wzrostu Fotigo, skoro nie pamiętamy ażali się nam zdarzyło równie długą i szeroką widzieć kiedy trumnę. W exkursyach po miasteczku zawadziliśmy też i o więzienie Chęcińskie, ze starego franciszkańskiego przerobione klasztoru. Ponury to i brudny gmach... wieje zeń rozpacz jakaś i zgroza. Nadpis, trochę już zatarty, na bramie więziennej, poświęcony jest wzmiance pochlebnej o bytności w Chęcinach i zwiedzeniu gmachu (w 1817 r.) przez Namiestnika królewskiego Zajączka

I cóż? spytacie—wszystko więc już co można było o Chęcinach powiedzieć? Nie inaczej! W stolicy marmurów nie szlifują ich... fabryka zaś uszlachetniająca je mieści się w Kielcach. Dość jednak drogie wyroby z marmuru... znajdziecie ich sporo w Warszawie!

Żegnajcie Chęciny bo oto wracamy już w swoje progi... pokłonię się swoim bogom domowym... Nie sądźcież mię zbyt surowo—jeślim was nie zajął, jak chciałem—wiązanką luźnych notatek i spostrzeżeń, może w przyszłości będę zabawniejszym...

SAMUEL BROHL I SPÓŁKA.

przez

Wiktora Cherbuliez

przekład

Elizy Rostworowskiej.

(Dalszy ciąg.)

XI.

Nazajutrz rano, po śniadaniu, panna Moriaz przechadzała się samotnie po swym ogrodzie. Czas był łagodny i ciepły. Szła bez kapelusza, zasłaniając się tylko parasolikiem z białej materyi, gdyż Samuel Brohl miał słuszność, słońce świeciło dnia tego. Patrzyła w niebo na którem wczorajsza burza nie zostawiła żadnego śladu, i zdawało się jej że nigdy nie widziała tak jasnego błękitu. Patrzyła na rabaty z kwiatów i widziała tam barwy, które nie istniały nawet. Patrzyła na sad zasadzony licznemi drzewami, i zachwycała się kolorytem liści w pośród których jesień, przetkała bogato złotawe odcienia. Po nad drzewami, widziała wieżyczkę kościoła rysującą się na tle ruchawych obłoków. Był to dzień świąteczny. Wszystkie dzwony wydawały srebrne dźwięki i mówiły szczęśliwej dziewicy, o tym tajemniczym świecie, o którym nieraz myślimy, choć nigdy nikt z nas go nie widział. Ptactwo świegotało radośnie, wszystko zdawało się zwiastować szczęście i wesele. Patrzyła na furtkę ukrytą w pośród zieleni, czekała aż się ta furtka otworzy. On miał tamtędy przybyć.

Obeszła terasę po razy kilka, zwir zgrzytał pod jej drobnemi stopami. Nigdy Antonina nie czuła się tak wesołą; życie, teraźniejszość i przyszłość, uśmiechały się do niej radośnie. Serce jej drgało jak ptaszek, jak on rozkładało skrzydła, i chciało w dal ulecić. Wszędzie widziała szczęście, w koło niej roztaczała się radość, drgała w każdym powiewie wietrzyka, w każdym szeleście, nią przepełniona była nawet cisza głęboka. Z uśmiechem patrzyła na rozległy krajobraz jaki się przed nią roztaczał, a błyszcząca promieniami słonecznemi Sekwana, zwracała jej ten uśmiech.

Oznajmiono jej przybycie jakiejś obcej damy, która chciała z nią mówić. Po chwili przybyła, ukazała się w ogrodzie i panna Moriaz niespodziewanie ujrzała przed sobą, księżnę Gulof, której miała nadzieję nigdy więcej nie zobaczyć. Otóż to wcale niepożądane odwiedziny, pomyślała wskazując gościowi miejsce na ławeczce. Co ta kobieta może chcieć ode mnie?

— Chciałabym pomówić z panem Moriaz, rzekła zaraz na wstępie księżna. Powiedziano mi jednak, że go nie ma w domu. Ponieważ za kilka godzin opuszczam Paryż, nie mogę czekać na powrót ojca pani, i dlatego udaję się wprost do ciebie. Przybyłam tu w celu oddania pani małej przysługi, której między kobietami niepodobna sobie odmówić; ale przedewszystkiem liczę na to, że zachowasz tajemnicę i że nikt się nie dowie od kogo wiesz całą historyą.

— Jaką historyą księżno?

— Nie jest ona małej wagi, chodzi tu o twoje zamążpójście.

— Jesteś pani prawdziwie za dobrą, że chcesz zajmować się moim losem; ale nie rozumiem...

— Zaraz zrozumiesz. Więc obiecujesz mi...

— Nic nie obiecuję księżno, aż zrozumiem o co rzecz chodzi.

Księżna rzuciła na pannę Moriaz ukośne spojrzenie. Myślała że ma przed sobą gołąbkę, spostrzegła że gołąbka ta, nie była bardzo uległą, i miała dość twardą szyję. Zawahała się nie wiedząc czy ma zostać, czy też oddalić się, w końcu jednak postanowiła pozostać.

— Chcę pani opowiedzieć historyą, ciągnęła dalej przyjaznym tonem, posłuchaj proszę, jeśli się nie mylę, zajmie cię ona w końcu. Przed trzynastu lub czternastu laty, traf, zwykły bardzo w podróży, zmusił mnie przepędzić kilka godzin, w nędznej galicyjskiej karczemce. Lepianka ta była brudną, karczmarz żyd niemieckiego pochodzenia, miał minę wcale nie zachęcającą, a był brudniejszy jeszcze jak jego mieszkanie i miał syna nie odznaczającego się też wielką czystością. Ja zwykle za dobrze sądzę ludzi, to też mimo brudu, żydek ten zajął mnie dość żywo. Jego niegodziwy ojciec, nie dał mu żadnego wykształcenia i bił go nielitościwie, wyglądał jednak na pojętnego chłopca, i zrobił mi wrażenie ryby, przeniesionej z przejrzystej rzeki, do brudnej kałuży. Nazywał się Samuel Brohl, zapamiętaj pani to nazwisko. Zdjęta litością chciałam wyzwolić chłopca z tej niewoli, jedynym środkiem do uskutecznienia tego zamiaru, było kupić go od ojca. Ten szkaradny człowiek zażądał ode mnie olbrzymiej summy. Nie miałam wówczas dość dobrze zaopatrzonej kieszeni, posiadałam tylko pieniądze niezbędnie potrzebne dla dokończenia podróży, ale nosiłam na ręku bransoletkę, która podobała się żydowi. Był to klejnot w guście perskim, więcej oryginalny niż piękny, mam go dziś przed oczyma. Trzy duże złote kwadraty, pokryte fantastyczną rzeźbą, złączone były filigranowym łańcuszkiem w rodzaju plecionki. Dbałam bardzo o ten klejnocik, przywieziony umyślnie dla mnie z Teheranu. W jednym z tych kwadratów, była tajemnicza skrytka, która za naciśnięciem sprężyny, otwierała się; tam to kazałam wyryć daty najważniejszych wypadków mego życia, nad niemi zaś, moje wyznanie wiary, o którem nie potrzebuję pani mówić. Ah! moja droga, jak się człowiek raz podda nieszczęsnej fantazyi, filantropią zwanej, niezawaha się nawet zamienić perskiej bransolety, na Samuela Brohl; bo przysięgam ci że się dałam strasznie oszukać. Ten niegodziwy chłopiec, nie ocenił mojej dobroci. Posełałam go na uniwersytet, a potem dałam mu miejsce sekretarza przy mojej osobie. Czarna to była dusza. Pewnego poranku znikł bez śladu.

— Ależ to oburzająca niewdzięczność, przerwała Antonina i dobry twój uczynek księżno, był źle zapłacony; ale nie rozumiem, dodała, jaki związek mieć może Samuel Brohl, z mojem małżeństwem.

— Jesteś zbyt niecierpliwą, moja pieszczotko. Gdybyś zechciała dać mi więcej czasu do opowiadania, byłabym ci wyjaśniła niezwłocznie, że wczoraj miałam przyjemność jeść obiad razem z owym Samuelem, u pani de Lorcy. Niemiec ten uszedł wiele drogi od czasu jak go straciłam z oczów; nie dość mu było zrobić z siebie Polaka, został nawet wcale znaczącą osobistością. Nazywa się hr. Ablem Laryńskim i w krótce ma pojąć za żonę pannę Antoninę Moriaz.

Twarz Antoniny oblał silny rumieniec, oczy jej zajaśniały dziwnym blaskiem. Księżna Gulof nie rozumiejąc jakie uczucie ożywiało ją w tej chwili rzekła:

— Nie gniewaj się moja miła, nie oburzaj się, oburzenie to nic ci nie pomoże. Bez kwestyi oszust zdolny omamić tak śliczną dziewczynę, zasługuje na karę śmierci, ale strzeż się czynić z tego użytku. Moja droga, pamiętaj że esklandry tego rodzaju, zostawiają ślady po sobie; rzucają cień niejaki. Wierz mi, że i na tobie zostałaby pewna śmieszność, ściągająca pogardliwe uśmiechy, nietrzeba aby o tem ludzie wiedzieli. Z łaski nieba nie jesteś jeszcze hrabiną Laryńską, przybyłam na czas aby cię ustrzedz od tego nieszczęścia. Zamilcz o tem odkryciu i tak znajdzie się łatwo powód do zerwania ułożonego małżeństwa. Nie byłabyś kobietą, żebyś nie zdołała znaleźć dziesięciu przyczyn niezadowolenia.

Panna Moriaz nie mogła dłużej hamować swego gniewu.

— Pani, zawołała z oburzeniem, czy ośmielisz się powiedzieć w obec mnie panu Laryńskiemu że jest Samuelem Brohl?

— Wczoraj mu to oświadczyłam, nie widzę więc potrzeby powtarzania się. Słysząc słowa moje był więcej umarłym niż żywym, na seryo żal mi się go zrobiło. Trudno nie przyznać, że ja jestem winną wszystkiemu, po co wydobyłam go z błota, w którem powinien był życie spędzić? Może tam byłby został uczciwym człowiekiem. Ja to pokazałam mu inny świat, włożyłam mu w rękę jego dobre karty, uznał że nie dosyć prędko wygrywa, skończył na oszukiwaniu. Nie do mnie należy czynić mu teraz wyrzutu, nie chcę wdawać się więcej w całą tę sprawę. Obiecaj mi pani, że Samuel Brohl, nie dowie się nigdy o naszej rozmowie

— Obiecuję pani, odparła dumnie Antonina, że nie powtórzę nigdy hr. Laryńskiemu, bardzo prawdopodobnej historyi, którą mi pani opowiedziałaś. Powtarzanie podobnych rzeczy uważałabym za zbyt ubliżające.

Księżna powstała nagle, a zmierzywszy okiem pannę Moriaz rzekła uśmiechając się szyderczo:

— Nie wierzysz mi moja droga. Naprawdę mi nie wierzysz? Masz słuszność, nietrzeba zważać na paplanie starej kobiety. Nie, piękna pani, Samuel Brohl nie istnieje, wczoraj spotkałam w Moisons najprawdziwszego z hr. Laryńskich, i teraz nie pozostaje mi jak tylko złożyć życzenia wszelkich pomyślności i niezmąconego szczęścia, hrabinie Laryńskiej *et coetera*, hrabinie Laryńskiej i spółce.

To rzekłszy, ukłoniła się lekko i odeszła.

Antonina siedziała przez chwilę jakby pozbawiona władzy myślenia, długo nie mogła przyjść do siebie. Myślała nad tem czy zaszłe zdarzenia nie były przykrym snem tylko, czy w istocie była to księżna żyjąca, z ciała i kości, która usiadłszy przy niej, opowiadała tak dziwną historyą, że aż dzwony kościoła usłyszawszy ją, dzwonić przestały. Rzeczywiście dzwony umilkły, przerażająca cisza panowała dokoła.

Antonina uspokoiła się niebawem. Przedwczoraj zdawało się, że ta kobieta ma pomieszanie zmysłów; jest to złośliwa waryatka, jakżebym pragnęła żeby Abel przybył tu teraz, opowie mi co zaszło wczoraj u pani de Lorcy, między nim a tą dziwaczką; uśmiejemy się razem. A może i nic nie zaszło? Bardzo to nie dobrze iż podobnie niebezpieczne istoty, nie są zaraz zamykane do domu waryatów. To może kiedy spowodować jaki wypadek. Kościelne dzwony już zamilkły... Ach Boże, cóż można wiedzieć? Pani de Lorcy musiała przyłożyć rękę do tej sprawy. To dalszy ciąg wielkiego spisku. Wieleż ta sztuka ma aktów? Czy jesteśmy teraz w drugim czy w trzecim; ale niektóre żarty rozgniewać mogą naprawde. Chyba się już gniewać będę.

Księżna Gulof zawiodła się, od dwudziestu minut panna Moriaz więcej jeszcze kochała hr. Abla.

Czas upływał, on był już pewnie w drodze, nigdy go tak niecierpliwie nie wyglądała. Nagle spostrzegła, że ktoś szedł z drugiej strony terasy. Był to Kamil Langis, zmierzający ku pracowni. Odwrócił głowę a spostrzegłszy siedzącą, zbliżył się do niej. Pan Moriaz prosił go aby przetłomaczył kilka stronic jakichś niemieckich pamiętników, gdyż sam nie posiadał dość gruntownie tego języka. Kamil odnosił właśnie tłomaczenie; był to może tylko pozór, motywujący przybycie do Cormeilles.

Panna Moriaz uczyniła w głębi ducha uwagę, że przybycie jego, nie było wcale na czasie. Jeśli Abel zastanie go tu, pomyślała, wiem że mu to sprawi przykrość. Powitała Kamila dość chłodno, co go widocznie zasmuciło.

— Jestem natrętnym gościem, rzekł chcąc się zaraz oddalić.

Zatrzymała go, a zmieniając ton mowy dodała:

— Nigdy nie jesteś natrętnym Kamilu, usiądź proszę cię.

Usiadłszy mówił jej o wyścigach konnych w Chantilly, na których był wczoraj. Słuchała go uważnie na pozór, ale głos jego obijał się tylko o jej uszy, Podniosła rękę chcąc odpędzić brzęczącą po nad jej głową osę; koronkowy rękawek obsunął się, zostawiając obnażone ramie.

— Masz jak widzę oryginalną bransoletkę, rzekł Kamil.

— Nie spostrzegłeś jej dotąd, odparła, a przecież od niejakiego czasu...

Przestała mówić uderzona nasuwającą się jej myślą. Spojrzała uważnie na swą rękę. Bransoleta która nigdy ją nie opuszczała, którą jej ofiarował hr. Laryński, ulubiony klejnot matki jego, nie był w niczem podobny do innych tego rodzaju wyrobów złotniczych; ale pannie Moriaz zdawało się że przypominał on ową perską bransoletę, o której mówiła księżna Gulof a jaka stanowiła okóp Samuela Brohl. Trzy złote kwadraty, pokryte fantastyczną rzeźbą, plecionka filigranowa, nic tu nie brakowało. Zdjąwszy ją z ręki podała panu Langis mówiąc:

— W jednym z tych kwadratów jest skrytka, ale by ją otworzyć, trzeba znaleźć tajemniczą sprężynę. Czy umiesz odgadywać tajemnice?

Obejrzał uważnie bransoletę.

— Dwa kwadraty są kute, trzeci zaś zdaje się być dęty i może zawierać ową skrytkę. Widzę tu maleńką sprężynę, ale mimo naciskania nie chce się poruszyć.

— Czy wierzchnia część kwadratu jest bardzo silna?

— Niebardzo, łatwoby ją można oderwać.

— To sprobój, rzekła Antonina.

— Niepodobna. Niech mnie Bóg broni zepsuć twój ulubiony klejnot!

— Poznałam niedawną pewną księżnę, która wszystko rozbiera i sprawdza, opierając się na fizyologicznych pewnikach, choroba jej udzieliła mi się widoczie, chcę teraz rozbierać rzeczy i sprawdzać. Lubię ten klejnot, ale wolę jeszcze widzieć co on w sobie zawiera. Uczyń to, o co cię proszę. W pracowni mego ojca znajdziesz potrzebne ku temu narzędzia. Idź, klucz jest w zamku.

Spojrzał na nią z niedowierzaniem; oczy jej błyszczały.

— Idźże prędzej, dodała, czy mnie nie rozumiesz?

Poszedł unosząc z sobą bransoletę, w pięć minut potem powrócił.

— Jestem bardzo niezgrabny, rzekł, otwierając nadwyrężyłem wierzchnią część skrytki, ale ciekawość twoja będzie zaspokojona.

Chwyciła bransoletkę, którą jej podawał i na dnie owej tajemniczej skrytki, ujrzała wyryte drobniutkie litery. Wytężywszy uwagę, przeczytała powoli. Najpierw, były umieszczone daty dni, miesięcy i lat pamiętnych dla księżnej Gulof. Daty te,

do których żadnych komentarzy nie dołączono, wystarczały niegdyś do przypominania głównych doświadczeń, poczynionych przez księżnę Gulof nad rodzajem ludzkim, aż do dnia odkrycia Samuela. Rezultat tych badań nie był zbyt pomyślny, gdyż pod owym kalendarzykiem, umieszczono wyznanie wiary księżnej Gulof, które brzmiało jak następuje: „Nic, nic, nic, i oto wszystko". Pod temi słowami był podpis bardzo wyraźny. Panna Moriaz przeczytała go odrazu, choć w oczach zaćmiło się jej w tej chwili. Nie można było dłużej wątpić, że klejnot dany jej przez hr. Abla, jako rodzinne relikwie, należał kiedyś do Anny Piotrównej, księżnej Gulof.

Twarz Antoniny pokryła się śmiertelną bladością, uczuła gwałtowny zawrót głowy. W pośród nieładu tłoczących się myśli, widziała siebie samą, gdzieś na końcu świata, samą, bezsilną, wdzierającą się na stromą górę; po drugiej stronie tej góry, czekał na nią jakiś człowiek. Zapytywała samej siebie:—Czy to ja jestem, czy ta podróżna jest prawdziwą panną Moriaz? Zamknęła oczy i ujrzała przed sobą bezdenną przepaść, w którą staczała się jak liść popychany wiatrem.

Zbliżywszy się Kamil, dotknął jej ręki mówiąc:

— Co ci się stało?

Ocknąwszy się z wysiłkiem podniosła głowę, lecz opuściła ją znowu na piersi. Uczuła gwałtowną potrzebę wywnętrzenia się przed kimś i uznała, że stojący przed nią człowiek, był godzien zaufania kobiety, chcącej nie rumieniąc się, wypowiedzieć tajniki serca, strasznie zawiedzionego.

Przerywanym głosem zaczęła opowiadanie bez związku, które Kamil z trudnością mógł zrozumieć. W końcu jednak pojął rzecz całą, a widząc jej głęboką boleść, doznał uczucia wielkiej litości, połączonego jednak z gwałtowną radością zakochanego.

Zegar kościelny uderzył drugą godzinę. Antonina zerwała się nagle wołając:

— Prosił mnie bym czekała na niego przy ogrodowej furtce, będzie mógł wziąć mi za złe wszelkie opóźnienie.

To mówiąc oddaliła się szybkim krokiem, Kamil Langis pobiegł za nią.

— Nietrzeba abyś go więcej widziała. Ja tam pójdę. Pozwól mi z nim się załatwić.

Odsunęła go mówiąc, rozkazującym tonem:

— Chcę go widzieć, mówić z nim; ja jedna mogę wypowiedzieć mu wszystko co czuję. Rozkazuję ci tu pozostać. A składając usta jak do uśmiechu dodała:—Wyobraź sobie, że jeszcze nie wierzę aby był chciał mnie oszukać i nie uwierzę, póki kłamstwa w oczach jego nie wyczytam.

Przebiegła szybko ogrodowe szpalery i przez pięć minut stojąc z oczyma utkwionemi w furtkę, oczekiwała na Samuela. Niecierpliwość jej wzrastała co chwila, a jednak panna Moriaz pragnęła, aby się drzwiczki te nigdy nie otwarły. Nieopodal stała ulubiona jej stara jabłoń, dawniej na rozłożystych konarach tego drzewa, zawieszała swój hamak. Wsparłszy się na pniu tej jabłoni, nie czuła się już osamotnioną, miała przy sobie przyjaciołkę, która ją strzegła.

Wreszcie otwarła się furtka; Samuel Brohl wszedł z uśmiechem na ustach. Zobaczywszy Antoninę rzekł:

— A gdzież parasolik? Czyś pani o nim zapomniała?

— Nie widzisz pan że nie ma słońca, odrzekła nie poruszając się nawet. Podniósł rękę chcąc wskazać czyste i błękitne niebo, ale ręka ta opadła natychmiast. Spojrzał na Antoninę i zadrżał z przerażenia. Odgadł natychmiast, że wiedziała o wszystkiem.

— Spędziłem wczoraj dzień nader nieprzyjemnie; rzekł udając zupełną swobodę, pani de Lorcy kazała mi jeść obiad w towarzystwie pewnej waryatki, ale noc wynagrodziła mi to sowicie; śniłem o Szwajcaryi, o górach, sosnach, zielonych jeziorach i o czerwonym kapturku.

— Ja też tej nocy miałam dziwny sen. Śniłam, że bransoleta którą mi pan dałeś, należała niegdyś do owej waryatki i że kazała ona na niej wyryć swe imię.

Rzuciła mu bransoletkę. Podniósł ją, obejrzał, obracając w drżących palcach. Antonina zawołała z niecierpliwością:

— Przyjrzyj się pan otwartej skrytce, czy nie umiesz czytać?

Przeczytał i osłupiał; któż się mógł spodziewać że klejnot pozostały po Jeremiaszu Brohl, należał niegdyś do księżnej Gulof i stanowił cenę, za którą kupiony został Samuel. Samuel był fatalistą, czuł że jego szczęśliwa gwiazda przestała świecić, że traf sprzymierzył się przeciw niemu i burzył jego nadzieje, że był potępionym i blizkim zguby. Głębokie zniechęcenie owładnęło nim.

— Czy mógłbyś mi pan powiedzieć, co mam myśleć o pewnym Samuelu Brohl? zapytała.

Imię to wymówione przez nią, padło na jego głowę jak bryła ołowiu; nie przypuszczał nigdy, aby jedno słowo, mogło tak przygnieść człowieka. Zachwiał się, potem uderzywszy zaciśniętemi pięściami w czoło, rzekł:

— Samuel Brohl jest to człowiek, godzien twojej i mojej litości. Żebyś pani wiedziała ile on w życiu przecierpiał, ile przewalczył, mimo woli musiałabyś żałować i podziwiać go. Posłuchaj mnie pani, Samuel Brohl jest nieszczęśliwym...

— Albo nikczemnym! przerwała groźnie. Potem śmiejąc się strasznie, dodała: — Pani Brohl! Nie mogę przecież nazywać się panią Brohl. Ah! ta biedna hrabina Laryńska!

Zadrżał, uniesiony strasznym gniewem, który byłby ją przestraszył, gdyby wiedziała jakie uczucia nim miotały. Podniósł głowę, założył ręce na piersiach i rzekł z gorzkim uśmiechem:

— Więc kochałaś pani hrabiego, nie zaś człowieka.

— Człowiek którego kochałam, nigdy nie skłamał.

— Tak, skłamałem, zawołał przerywanym głosem i teraz pożywam wstyd moj bez wyrzutów, bez obrzydzenia. Skłamałem, przez miłość dla ciebie, skłamałem, boś mi droższa nad własny mój honor, skłamałem bo chciałem zdobyć twe serce i wszystkie drogi prowadzące do tego celu, wydały mi się dobre. O czemuż cię spotkałem? Czemuż ujrzawszy cię pani, widziałem w tobie jedyne szczęście mego życia? Szczęście to omijało mnie, miało ulecić gdym je schwycił w przelocie. Skłamałem. Któż by nie skłamał, aby być przez ciebie kochanym?

Nigdy Samuel Brohl nie był równie pieknym. Rozpacz i namiętność zapalały w jego źrenicach ciemny płomień, był piękny, tą złowrogą pięknością pokonanego szatana. Utopił w Antoninie spojrzenie które mówiło:—Cóż ci szkodzić może imię moje, kłamstwo i wszystko inne? Oblicze moje nie jest maską, a człowiek który ci się podobał, to ja.—Nie domyślał się nawet z jaką łatwością Antonina odebrała mu serce, które tak łatwo zdobył; nie wiedział o cudach zdziałanych za pomocą wzgardy. W średniowiecznych czasach, wierzono iż niektóre spiżowe posążki, mające pozór istot żyjących, a jaśniejące wielką niezrównaną pięknością, miały pod włosami wyryte słowo: prawda. Jeśli zdarzyło im się skłamać, słowo to nikło, a posążki traciły cały swój urok, i spiż, stawał się napowrót, spiżem tylko.

Antonina odgadła myśl Samuela i zawołała:

— Człowiek którego kochałam, to ten, któregoś mi opowiedział historyą.

Byłby ją chętnie zabił, aby nigdy do nikogo należeć nie mogła. Po za nią, o jakie dwadzieścia kroków spostrzegł ocembrowane brzegi studni, uczuł zawrót głowy. Z rozpaczą prawie przekonał się, że nie był zdolnym do popełnienia zbrodni.

Padł na kolana wołając:

— Jeśli mi pani nie przebaczysz, nie pozostanie mi jak umrzeć.

Antonina stała niema, niewzruszona powtarzając półgłosem słowa Kamila Langis:

— Czekam, aby ten wielki aktor, skończył grać komedyą.

Podniósł się i zaczął biedz ku studni. Antonina zabiegła mu drogę; lecz w tejże chwili, uczuła dwa silne ramiona otaczające jej kibić, i gorący oddech ust zbliżających się do ust jej i szepczących słowa:

— Kochasz mnie jeszcze, kiedy nie chcesz bym umarł.

Usiłowała gwałtownie wyrwać się z tego wstrętnego uścisku; rozpaczliwym wysiłkiem udało się jej oswobodzić. Uciekała wprost ku domowi. Samuel Brohl puścił się w pogoń i już miał ją dosięgnąć, gdy nagle stanął jak wryty. Ujrzał Kamila wybiegającego z altany, w której się ukrył. Zaniepokojony zszedł niepostrzeżenie boczną ścieżką i tam oczekiwał w milczeniu. Antonina biegła ku niemu wołając:

— Kamilu ratuj mnie! i padła w jego ramiona, które otoczyły ją z rozkoszą. W tejże chwili, uczuł jak osunęła się bezwładnie, bez życia.

Jednocześnie groźny głos zawołał z daleka:

— Rozmówimy się kiedyś mój panie.

— Dzisiaj zaraz, odparł Kamil.

Kamil Langis uniósł w objęciach zemdloną Antoninę i poszedł wprost ku domowi. Idącego spostrzegła panna Moiseney, która na ten widok napełniła powietrze krzykiem. Przybiegłszy zaczęła trzeźwić swoją królowę, zarzucając Kamila pytaniami, których on prawie nie słyszał, co chwila jednak stara panna powtarzała wyrazy:

— Musi to być jakiś spisek, którego pan jesteś główną sprężyną. Zaraz to odgadłam, gniewasz się na Antosię. Upokorzona miłość własna, dotąd nie mogła się uspokoić i postanowiłeś się zemścić. Co, może pan pochlebiasz sobie, że cię w końcu pokocha? Ona cię nie kocha i nigdy kochać nie będzie. Jak pan śmiesz porównywać się z hr. Ablem Laryńskim?... Milcz pan! Czy myślisz że uwierzę w całą tę zmyśloną historyą? Nie znam żadnego Samuela. Dałabym sobie głowę obciąć, że żaden Samuel Brohl nie istnieje na świecie.

— W każdym razie niewiele byś pani dała, rzekł pan Moriaz wchodząc do pokoju.

(d. n.)

Przegląd literacki.

Biblioteka Warszawska i Ateneum z I kwartału 1880 r. (Styczeń— Marzec).

(Dokończenie).

Zupełnie inaczej przedstawia się powieść Kraszewskiego „Szalona," która niewątpliwie stanowi ozdobę dosyć ubogich w treść zajmującą roztrząsanych zeszytów Ateneum. Powieść ta jeszcze nieskończona — szczegółowiej więc pomówimy o niej później. Tymczasem zaznaczę tylko, że bohaterka opowiadania, do której ściąga się tytułowy przymio-

tnik, jest postacią oryginalną, nową w literaturze naszej, bo skopiowaną z nowych i na szczęście jeszcze niezbyt licznych w rzeczywistości typów kobiecych. Jest to bowiem postępowa „studentka“ (typ i nazwa nieznana jeszcze przed 30 laty), przesiąkła teoryami i poglądami tak bujnie rozwijającemi się w naszych czasach, a w zupełności obcemi tradycyom, obyczajom i duchowi naszego narodu...

Na zakończenie kilka uwag o językowej stronie Ateneum. Błędy przeciwko poprawności mowy i stylu zawsze jeszcze trafiają się dosyć obficie na kartach tego czasopisma. Tak np. „*wskróś* panowania, *wskróś* bojów, zapewne zam. *przez cały przeciąg* (Styczeń str. 72): „po za tę datę *oświadczył nie chcieć wychodzić*, germanizm, zam. *że nie chce* (tamże str. 73); „*Czechów*, Morawii i Szlązka zam. *Czech* (tamże str. 76); „buntów *chłopskich domagających się* ziemi i swobody“ zam. *chłopów* gdyż *domagali się* chłopi, nie zaś *bunty* (tamże str. 93); „pod karą zagłady i *rozczynu* (?) „może zam. *upadku,rozproszenia*, rozprzężenia, rozkładu? (stronnica 104); *uwieńcza* zam. *wieńczy*, gdyż słowa dokonane czasu teraźn. nie mają (tamże str. 153); „zaprosił na *wieca* zam. na *wiec* (str. 191); „*głowa* szląskiej *dzielnicy*“ zam. *pan*, gdyż *dzielnica* to część kraju, a książę nie może być *głową* kraju, ale chyba głową rodu, linni, dynastyi (tamże); *przeszacowania* zam. *ponownego* oszacowania (str. 104); odkładanie *na bok* zam. oszczędzanie (str. 198) i t. p.

Szczególniej razi nas w wielu miejscach zupełna i już wszelką miarę przechodząca niedbałość korekty, głównie w wyrazach cudzoziemskich—francuzkich, włoskich i łacińskich. O naprawę pod tym względem wołaliśmy już nieraz i zawsze napróżno, a jednak rzecz to niezbyt błaha. Tyle już lat nasza młodzież uczy się dużo łaciny, a dotąd jeszcze redakcya Ateneum, nie mogła zdobyć się na korektora posiadającego znajomość tego języka choćby w zakresie trzech czterech klas gimnazyalnych, któryby umiał czytać po łacinie, znał deklinacye i rozumiał nieco wyrazów o tyle, aby być w stanie prawidłowo przeczytać i poprawić w druku jaki wyraz łaciński, niewyraźnie w rękopiśmie napisany, czego widocznie nie potrafią dotychczasowi korektorowie Ateneum, umiejący czytać tylko po polsku i nieumiejący sobie dać rady głównie jak się zdaje, wskutek nieczytelności pisma tego lub owego ze spółpracowników. Doprawdy przykro pomyśleć, jaki wstyd literaturze naszej może sprawić Ateneum w razie gdy jego zeszyty wpadną w ręce cudzoziemców, którzy będą się z nas wyśmiewali że potomkowie narodu, który w wiekach XV, XVI i XVII wydał słynnych po świecie mówców, pisarzy i poetów łacińskich, dzisiaj nie mogą zdobyć się na znajomość gramatyki łacińskiej, tak że każdy wyraz łaciński jest nawet dla literatów warszawskich jakby hieroglifem egipskim Oto próbki: *hostitates* zam. *hostilitates* (Styczeń str. 19); „*Cesareo majestati* zam. *Caesareae majestatis* (tamże str. 20); *flenibilita S'animo* zam. *flessibilita d'animo* (tamże str. 30); *cujus cumque* zam. *cujuscunque* (str. 31); *interni* zam. *interim* (str. 32); *caleri* zam. *ceteri* (tamże); *totuis* concursus *nobilum* zam. *totius* concursus *nobilium* (str. 46); *nominem* zam. *neminem* (st. 49). Na str. 98 zamiast jakiegoś *Czause'a* (!) ma być *czausza*, gdyż mowa tu o pośle tureckim, a poseł po turecku *czausz* (wyraz często napotykany w kronikach polskich XVI wieku). Na str. 166 nie wiem, co miałoby znaczyć: „*farsy* i jego córeczki.“ W zeszycie marcowym na str. 507 czytamy „ute Vladislaus exercitum *genere* suo daret; ma być *genero*. Tamże na str. 514 zamiast *podboju* wydrukowano *pokoju*.

L. S. W.

Z kraju i z zagranicy.

Gazeta Lubelska donosi że w niektórych wsiach w gubernii Lubelskiej, włościanie zaprowadzili rodzaj ochron dla dzieci, podczas gdy rodzice ich wychodzą w pole na roboty Z kolei codzień do jednego z gospodarzy odprowadzając dzieci sąsiadów, pozostawiając dla nich pożywienie na cały dzień, a gospodyni tej chaty obowiązana jest czuwać nad zgromadzonemi dziećmi.

Urządzenie jednak podobnych ochron choć zalecane na zebraniach gminnych, mało gdzie zaprowadzone zostało, pomimo że statystyka wypadków przekonywa jak znaczna liczba dzieci wiejskich staje się corocznie, szczególnie w letnich miesiącach, ofiarą niedozoru rodziców zajętych robotą w polu.

— Ze wszystkich stron kraju dochodzą smutne wiadomości o strasznych burzach i powodziach, jakich najstarsi ludzie nie pamiętają, tam nawet gdzie urodzaje były dobre albo deszcze przeszkadzały sprzętowi albo powodzie cały plon uniosły. Wiele okolic kraju zagrożone są głodem oraz niechybnym prawie upadkiem inwentarza z powodu zgniłej strawy, a więc i upadkiem gospodarstw.

Kazimierz (pod Koninem, w powiecie Słupeckim) i okolica tamtejsza nawiedzone zostały przez straszną trąbę powietrzną. Po rzęsistym deszczu, grzmotach i błyskawicach, ukazał się w przestrzeni wielki słup czarny, gruby i wirujący, który rosnąc w kształcie lejkowatym pod obłoki, posuwał się ze wschodu ku południowi. Niebawem spadł deszcz tak ulewny iż choć trwał zaledwie pięć minut, wszystkie pola i łąki zamienił w wielkie, nie dające się wzrokiem objąć jezioro. Posuwając się dalej, uragan w odległości pięciu wiorst od osady, zerwał i poniósł siedm chat wiejskich i wiatrak na niemieckiej kolonii Rembów. Przerażeni mieszkańcy wybiegli na pola. Około 13 morgów lasu zniszczone; sosny, brzozy, dęby, graby, połamane lub powyrywane z korzeniami leżą na ziemi. O trzy wiorst od Kazimierza, z nowej wielkiej stodoły zerwany został cały dach z wiązaniem i rzucony o 500 kroków, parę wiorst dalej w pośród lasów, stała ogromna szopa z sianem, tę uragan uniósł gdzieś tak daleko że i śladu po niej nigdzie nie ma. W tejże okolicy, trąba powietrzna padła na jezioro mające około półtory wiorsty przestrzeni, wyrwała z jego łożyska i rozprysnęła wodę, tak iż zamieniło się w prostą kałużę, ale za to łąki dokoła zalane zupełnie, pokrywa je głęboki obszar wody. Woda uniosła powiązane w snopy zboże; kartofle gniją, biedny lud rozpacza nad utraconą chudobą... A podobne klęski miały miejsce w wielu okolicach.

I z Księztwa poznańskiego dochodzą ciągle skargi na nieustanne deszcze, ale tam przynajmniej choć na małą skalę sprawdziło się przysłowie „że nie ma tego złego coby na dobre nie wyszło.“ Pewien właściciel ziemski, Niemiec, widząc jak całe jego plony marnieją, tak się rozgniewał i zniecierpliwił, że wieś sprzedał za bezcen i wyniósł się napowrót do Niemiec. Odjeżdżając powiedział: „iż nie chce by dzieci jego osiedliły się w kraju, w którym przez ośm miesięcy panuje zima, przez dwa susza, a przez dwa deszcze.“ Wieśniacy miejscowi bardzo się ucieszyli z oddalenia nieproszonego przybysza, gdyż mają nadzieję, że już tak ulewne deszcze u nich padać nie będą, uważając je jako karę niebios zesłaną na Niemców, rozsiadających się na polskich zagonach. Gdybyż te klęski zdołały wypłoszyć wszystkich nieproszonych przybłędów, byłoby się przynajmniej czem pocieszyć.

— Dla obchodzenia uroczyści stuletniej rocznicy założenia szkół niedzielnych w Anglii 20,000 chłopców i dziewcząt było obecnych na inauguracyi pomnika Roberta Raikes, wzniesionego w ogrodzie, na wybrzeżach Tamizy. Pomimo że deszcz zaczął padać i pod względem malowniczym zaszkodził uroczystości, nie zdołał jednak pozbawić jej poważnie religijnego charakteru, który głębokie wywarł wrażenie na wzruszone tłumy. Czyste i przenikające głosy śpiewające hymn dziekczynny Panu, musiały nawrócić niejednego grzesznika, powiedział biskup w swej allokucyi. Po skończonej uroczystości, każdemu z dzieci księcia Walli ofiarowano egzemlarz Biblii, wydanej umyślnie z powodu tej uroczystości. Pod względem formatu, jest to edycya najmniejsza ze wszystkich znanych wydań, maleńki tomik oprawny w pergamin waży tylko dwanaście łutów, pomimo że tekst jest zupełnie kompletny.

Poczucie sprawiedliwości, tak wrodzone ludowi angielskiemu, nie dozwoliło aby uroczysty ten obchód stał się monopolem popularności, na wyłączną korzyść Roberta Raikes, jak gdyby rzeczywiście on najpierwszy pomyślał o szerzeniu nauczania religijnego między dziećmi ludu. Wystawiono więc drugi pomnik na cześć dwunastu założycieli podobnych szkół, a na czele tej listy wypisane jest nazwisko świętego Karola Boremeusza, biskupa mediolańskiego, który pierwszy zaczął zgromadzać biedne dziatki na schodach swej katedry i sam im wykładał zasady Ewangelii.

Zawiadomienia.

Do dzisiejszego N-ru **Tygodnika Mód** dołącza się dodatek z drzeworytami.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ. Варшава 19 Августа 1880 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego Chmielna N. 1530 (20).

Dodatek.

Dodatek z powieściami do Tygodnika Mód Nr. 37 r. 1880.

ZE WSPOMNIEŃ SIEROTY.

PRZEZ

T. MARYAT.

(przekład z angielskiego.)

(Dalszy ciąg).

Patrząc na doktora Ford niktby się nie domyślił co się działo w jego sercu. Jakżeby się zadziwili wszyscy uważający go za zimnego, zawsze panującego nad sobą człowieka, gdyby teraz mogli zajrzeć w głąb jego duszy. Jakiejże to wielkiej potrzebował siły moralnej, aby wejść spokojnie do pokoju tej kobiety którą tak kochał! Ale pan Burrel nic o tem nie wiedział; wszedł więc pierwszy do pokoju zbliżył się do łóżka i rzekł skinąwszy na kolegę:

— Możesz pan wejść, stan chorej się nie zmienił nie odzyskała przytomności.

Ulryk wyprostował się jakby pragnąc się przekonać czy jest dostatecznie uzbrojonym do walki, potem postąpił pewnym krokiem i stanął w nogach łóżka.

Pokój był słabo oświecony, mógł jednak widzieć leżącą na łożu boleści. Gdyby nie wiedział z pewnością że patrzy na mistress Fleming, nie byłby nigdy w niej poznał Cecylii Halsted. Piękne złote włosy tworzące dawniej jakby aureolę nad jej czołem, utraciły swój połysk; w promieniach rozrzuconych po poduszce bieliły się włosy siwe; świeżość płci znikła bez śladu; oczy pozbawione blasku patrzyły nieruchomie. Była to nader smutna ruina dawnej Cecylii.

Ulryk zbliżył się i przez kilka chwil wpatrywał się w nią poważnie i uroczyście, poczem nagle odstąpił od łóżka i stanąwszy przy oknie, podniósł nieco roletę jak gdyby chciał zobaczyć jaki czas na dworze. Jeden rzut oka dał mu poznać że już żadnego nie ma ratunku. Pan Burrel miał słuszność; Cecylja umrze za kilka godzin. Nie postawił sobie nawet pytania czy byłby ją mógł uratować gdyby wcześniej był wezwany—wiedział że choroba dosięgła ostatnich granic i żadna moc ludzka nie zdołałaby już utrzymać chorej przy życiu. Cecylja lada chwila na zawsze zamknie powieki i na wieki już rozstaną się z sobą.

Gdyby jeszcze tego dnia rano ktoś dowodził doktorowi że prawdziwa miłość nigdy nie zamiera, i że kto mógł zapomnieć ten nie kochał rzeczywiście, rozśmiałby się pogardliwie, a w duchu powiedziałby sobie iż sam na sobie przekonał się najlepiej o bezzasadności padobnych bredni. W jakże teraz odmiennem był usposobieniu, gdy stojąc w oknie z pochyloną głową w głębokiej zatonął zadumie.

Myślał sobie że tak ważny ustęp z jego życia, rozpoczynający się tak słodko i błogo a następnie taką napawający go goryczą miał się nareszcie zakończyć stanowczo. I w tej chwili dość było głosu dziecka, śpiewu ptaka, jednego promyka słońca, aby zachwiać całą odwagę w jaką się uzbroił. Dość już długo zostawał zatopiony w smutnem rozmyślaniu, przerwało je nareszcie ciche wezwanie doktora Burrel.

— Zbliż się pan, doktorze Ford, mistress Fleming jest w tej chwili nieco lepiej,—a zwracając się do chorej, mówił: — Wszak mnie pani poznajesz?... O! tak, zawołał uradowany, ujrzawszy blady uśmiech pojawiający się na ustach chorej, pragnącej wynagrodzić go nim za troskliwe starania. Kuzyn pani, doktor Ford przybył, pośpieszył na pierwsze jej wezwanie.

— Kuzynie Ulryku! zawołała słabym głosem umierająca, poczem rumieniec wstydu wystąpił na jej twarz bladą, i prędko ukryła ją w poduszki.

Ulryk powoli przysunął krzesło do łóżka i ujął w swe dłonie rękę Cecylii. Pan Burrel wyszedł z pokoju, zostawiając ich samych.

— Jakżeś dobry, żeś przybył, rzekła słabym głosem, uczuwszy gorący uścisk dłoni Ulryka.

— Czyżbyś przypuszczała że mógłbym odmówić twemu wezwaniu? rzekł z uczuciem.

— Wszyscy mnie opuścili; nikt nie odpowiada nawet na moje listy... a ty któremu tyle wyrządziłam złego...

Miała słuszność! O! tak, wiele, wiele wyrządziła mu złego, którego nic zatrzeć ani wynagrodzić nie mogło,—i sama tylko głęboko zraniona dusza Ulryka, mogłaby dać jej poznać otchłań krzywdy jaką zadała mu jej zdrada.

Gdyby doktór Ford mógł być tak okrutnym aby biednej umierającej odkryć całą prawdę byłby jej powiedział że cierpienia na jakie go skazała, były niczem w porównaniu z krzywwą jaką wyrządziła jego duszy byłby wykazał zgubne następstwa przeniewierzenia jakiego się dopuściła, a które wydarło mu wiarę w prawdy o których nie wątpił pierwej... Mógłby wyznać jej że utrata tej miłości będącej słońcem jego życia, pogrążyła w ciemności wszystko co go otaczało, że świat cały zamieniła dla niego w jałową pustynię, w której nie czuł obecności i nie wierzył w Boga. Czuł się strasznie samotnym, stracił wiarę w ludzi i w ich uczucia, zobojętniał na wszystko, nawet na sławę. Ale Ulryk Ford był nadto szlachetnym i silnym aby nie mieć litości dla słabych; nadto rozumnym aby nie wiedzieć że skargi i wyrzuty nie wrócą mu tego co utracił, a nadto jako doktór rozumiał dobrze iż wszelkie silniejsze wzruszenie musiałoby pogorszyć stan chorej, której i tak nic pomódz już nie mógł. To też gdy powiedziała: „Ty któremu tak wiele wyrządziłam złego“ nie dał jej poznać niczem jak boleśne zrobiły na nim wrażenie te słowa tak pełne prawdy, i tylko przez chwilę posępna chmurka przyćmiła jego oczy.

— Nie mów o tem, rzekł spokojnie, już wszystko ci przebaczyłem i zapomniałem; musiałbym być nader mściwym, gdybym mógł przez lat tyle czuć niechęć do kogokolwiek, a szczególniej do ciebie, Cecyljo.

Podniosła na niego oczy, i wpatrzywszy się bacznie zaczęła płakać jak dziecko.

— A! jakżeś ty zmienny, Ulryku, i to moje dzieło.

— Obojeśmy się zmienili, Cecyljo; ty może więcej jeszcze odemnie: ale tak być musiało. Pomyśl tylko ile lat upłynęło od chwili gdyśmy się raz ostatni widzieli z sobą... Martwi mnie tylko że cię znalazłem tak bardzo chorą; jechałem tu z nadzieją że będę mógł powrócić ci zdrowie.

— Ale to niemożebne, wszak prawda? muszę umierać, i nikt nawet żałować mnie nie będzie.

Przygryzł tylko usta i popatrzył na nią w milczeniu.

— Jeźli chcesz dać mi jakieś zlecenie lub może życzysz sobie czego, powiedz mi to, Cecyljo; może masz jakie polecenie do rodziców, — którzy, jestem pewny, nie wiedzą o tak ciężkiej chorobie twojej — powierz mi je i licz na mnie jak na brata.

— Moje... dziecko, wyrzekła przerywanym głosem, gdyż oddech jej stawał się coraz cięższym,— Ulryku, powierz je ich opiece.

Doktór drgnął. Nie pierwszy to raz dowiadywał się że Cecylja była matką, ale czy mu mówiono, czy tylko zdawało mu się iż słyszał, że straciła dzieci niedługo po ich urodzeniu, zatem ostatnie jej słowa uczyniły na nim wrażenie boleśnej, niemiłej wiadomości.

— Nie wiedziałem że masz dziecko; czy to syn czy córka?

— Córka, biedna dziewczynina nikogo nie ma na świecie. Zawieź ją do Trampton, do mojego ojca, i powiedz że powinien ją przyjąć, bo nie ma żadnego przytułku ani schronienia.

Gdy nic jej nie odpowiedział, dodała z żywem wzruszeniem: — Musiał w głębi serca zachować dla mnie choć cień przywiązania, gdyż inaczej nie przysełałby mi pieniędzy, a w ostatnich szczególniej czasach, odbierałam je bardzo często. A któż inny mógł mi je przysełać?

Nie odpowiedział na ostatnie pytanie, i tylko po chwili zapytał pewnym, ale nieco przytłumionym głosem:

— Gdzież mąż twój?

— Odjechał i prawdopodobnie już nie żyje; niech więc nie obawiają się jego natręctwa.

Doktór milczał zamyślony. Zdawało mu się że w Trampton inaczej niż Cecylja zapatrywać się na to będą; nader więc trudnem do spełnienia było polecenie przedstawienia tej dumnej rodzinie córki nauczyciela rysunków. Biedna dogorywająca wyczytała to wahanie w oczach dawnego swego wielbiciela.

— O! biedne, biedne dziecko moje, wołała z gorączkowem uniesieniem, załamując wychudłe dłonie, nikt o nią nie dba, nikt nie chce jej przytulić... umrze jak ja samotne i opuszczona.

— Cecyljo, rzekł łagodnie, kładąc ręce na jej ciele wstrząsanem gorączką, teraz jestem twoim doktorem, powinnaś więc spełniać moje polecenia. Uspokój się, i słuchaj mnie. Czy pamiętasz dni dawno minione? czy pamiętasz że kiedyś, kiedyś zdawało ci się że masz dla mnie jakieś uczucie? Pomnij czy kiedykolwiek nie dotrzymałem ci słowa? czy wierzysz że mógłbym dziś nie dotrzymać danego przyrzeczenia? Odwiozę córkę twoją do Trampton, będę się starał wszelkiemi sposobami przekonać ojca twego że powinien dać jej w domu swoim schronienie i opiekę, a jeźli mimo to odmówi, wtedy... (W tej chwili umierająca wlepiła w niego swe wielkie niebieskie oczy). Wtedy, sam czuwać będę nad tem aby odebrała odpowiednie wychowanie. Czy ufasz memu przyrzeczeniu i czy będziesz już spokojna?

— Ty, Ulryku, ty zrobiłbyś to dla mnie!... zawołała z osłupieniem.

— I czemuż nie, kochana kuzynko, odrzekł zimno (a ileż go to kosztowało!) Wszak jesteśmy krewni... a potem wszak byłem tak szczęśliwy gdyś mnie kochała.

Uchwyciła jego rękę w swoje małe rozpalone dłonie i chciała ponieść ją do ust, ale Ulryk nie pozwolił na to i wysunął ją żywo.

— Niegodna tego jestem! zawołała z boleścią.

Gdy ustało chwilowe podbudzenie spowodowane przybyciem Ulryka, nastąpiło przesilenie objawiające się silnemi dreszczami; było ono przewidziane, ale wywiązało się prędzej niż się spodziewano. Ulryk pociągnął żywo za sznur od dzwonka, i natychmiast wszedł do pokoju doktór Burrel i mistress Mitchel.

— Nie odzyska już przytomności, rzekł doktór Ford do kolegi, za chwilę skończy cierpieć, nie miałaby sił na przetrzymanie jednego jeszcze podobnego ataku.

Gdy to mówił najlżejsze drżenie głosu nie zdradzało wewnętrznych jego cierpień, a jednocześnie podtrzymywał wątłe ciało tak niegdyś ukochanej kobiety.

Usłyszawszy słowa doktora, biedna mistress Mitchel głośno zapłakała.

— Umrze! umrze! mówisz pan, czyż już nie ma ratunku... biedna, biedna pani... Boże zlituj się nad nami!.. muszę iść obudzić i przyprowadzić tu córkę... ta dobra pani wieczny żal miałaby do mnie, gdyby córka nie była przy niej gdy ostatnie wyda tchnienie.

— Zostań pani, możesz tu być potrzebną, po cóż dziecku tak okropny przedstawiać widok.

Mówił wolnym i niepodniesionym głosem, a jednak głos ten nie dopuszczał nieposłuszeństwa. Mistres Mitchel usiadła i płakała cicho, a obaj doktorzy pochyleni nad chorą rozmawiali o jej stanie; pan Burrel wyszedł po coś na chwilkę, a jednocześnie z wyższego piętra dał się słyszeć głos młody, wołający głośno:

— Mistress Mitchel! mistress Mitchel! co się z mamą robi?

— To miss Dora mnie woła, powiedziała mistress Mitchel, cóż mam robić? jak nie pójdę, ona zaraz przybiegnie.

— Idź pani i zatrzymaj ją na górze, rzekł doktór Ford, konanie nie potrwa długo.

Mistress Mitchel spełniła rozkaz doktora; pozostał sam z umierającą. Pochyliwszy się, Ulryk wpatrywał się natężonym wzrokiem w twarz Cecylii na której roztaczały się już cienie śmierci; pod wpływem tego przyjaznego spojrzenia, twarz ta wypogodziła się, usta otworzyły ostatnie wydając tchnienie, utkwiła w niego swe szkliste już spojrzenie.

Cienie śmierci już je zaćmiły, a jednak w ich zamglonem spojrzeniu można jeszcze było wyczytać pytanie którego już usta wymówić nie mogły: Czy mi przebaczyłeś? Odpowiedział jej przybliżając usta do jej czoła, i zdawało się że ten pocałunek wyzwolił tę udręczoną duszę z ostatnich więzów przykuwających ją jeszcze do ziemi; dziwnie słodki uśmiech przesunął się po ustach umierającej, zamknęła oczy, zadrżała, wsparła głowę na ramieniu kuzyna, i cicho, spokojnie wydała ostatnie tchnienie. Ulryk trzymał ją tak przez chwilkę jeszcze, a potem złożył lekko na łóżku, martwe zwłoki Cecylii Fleming.

Usłyszał żywą jakąś i dość głośną rozmowę na schodach, i gdy właśnie chciał wyjść aby zwiastować smutną wiadomość i nakazać milczenie, otworzono drzwi nagle, i na progu stanęła trzynastoletnia ale wysoka na swój wiek panienka.

— Nie potrafisz mnie powstrzymać, mistress Mitchel, mówiła stanowczym tonem, skoro mama jest chora, ja powinnam przy niej czuwać.

Ulryk Ford cofnął się patrząc na nią z najgłębszem zdumieniem. Dopiero co złożył na łożu martwe zwłoki tej którą niegdyś kochał, a była to tylko smutna ruina tej piękności którą zachwycał się kiedyś, patrząc na martwe już rysy powiedział sobie że wszystkie wspomnienia młodości wraz z nią zamarły, że obraz tej świeżej i pięknej twarzy już go prześladować przestanie, a tu prawie jednocześnie stanęło przed nim jakieś zjawisko, jakby wywołane przez niego pragnieniem zobaczenia raz jeszcze tej którą utracił taką, jaką była kiedyś; słowem zobaczył przed sobą Cecylję ze swych lat młodzieńczych, tylko piękniejszą nie była.

Oczy dziewczęcia były wielkie, pełne blasku, nosek 'zgrabny, zadarty, zostawał w pewnej sprzeczności ze słodyczą malującą się w oczach, brodę trochę spiczastą przyozdabiał dołeczek, usta ślicznie zarysowane osłaniały, małe, równe i białe ząbki. Taką była Teodora Fleming, kiedy po raz pierwszy ukazała się Ulrykowi Ford.

Jakkolwiek wysoka na swoje lata, trzymała się prosto jak młoda topolka, a chociaż matka jej liczyła lat szesnaście kiedy ją zobaczył po raz pierwszy, Dora wydawała mu się równie rozwiniętą jak wówczas Cecylja. Trudno się dziwić że przypominała mu tak żywo tę która przed chwilą skonała na jego rękach, i która tak długo niepokoiła go na jawie i we śnie.

Chciał przygotować młodziuchną kuzynkę do tak bolesnej straty, ale zanim zdążył przemówić zobaczyła matkę leżącą nieruchomo na łóżku, i śpiesznie zbliżyła się do niej.

V.

Z pamiętnika Teodory.

Choćbym żyła pięćset lat nie zapomnę nigdy tego dnia w którym zobaczyłam po raz pierwszy kuzyna Ulryka Ford. Mieszkałyśmy wtenczas w Saltpool. Od wielu lat? tego nie umiem powiedzieć, ale to pewno że nie przypominam sobie żadnej innej miejscowości, prócz tej w której wówczas przebywałam z mamą. Nikt nas nie odwiedzał prócz pana Burrel, i byłyśmy bardzo biedne i często bardzo smutne. Pan Burrel był naszym doktorem, a co do mnie wcale go nie lubiłam, bo miał zwyczaj chwytać mnie za włosy, i nazywać *nieuczkiem*, i zalecał mamie aby mi codzień rano dawała jakiś proszek, zapobiegający zbyt szybkiemu rośnięciu, a mama słuchała jego rady.

Prócz tego zwróciło to moją uwagę że mama więcej jeszcze płakała po każdej bytności doktora. Martwiła się tem że jej zdrowie nie polepszało się wcale, i mówiła nieraz że go nie odzyska dopóki mieszkać będzie w tej nędznej mieścinie. Nie słyszałam jednak nigdy aby miała zamiar wyjechać z Saltpool, a ile razy zapytałam matki czemu nie przeniesie się do jakiej innej miejscowości, któraby jej się lepiej podobała, otrzymywałam jakąś wymijającą odpowiedź; tylko Betsy Mitchel powiedziała mi w sekrecie że to brak pieniędzy zmusza nas pozostać w Saltpool, i poprzestała na tem objaśnieniu.

Niekiedy pragnęłam bardzo być bogatą, ale dlatego jedynie abym mogła uprzyjemnić życie moje kochanej matce. Nie przypominam sobie abym ją kiedyś widziała wesołą i zdrową; była bardzo blada ale bardzo ładna z temi blond włosami tegoż samego co moje odcieniu, tylko jaśniejszemi, lecz niestety! płakała tak bardzo i tak długo, że oczy jej były czerwone i zapuchnięte, i że łzy pozbawiły jej blasku.

Nie wychodziła nigdy ze mną aby się przejść między skałami, lub też spocząć na wybrzeżu, tylko przez cały dzień leżała na sofce, czasem czytała książkę, czasem nic nie robiła, ale najczęściej przeglądała jakieś dawne listy i papiery, i tak płakała że to ją doprowadziło do choroby,

Wtenczas niczego nie pragnęłam tak bardzo jak tego aby moja biedna matka mogła być równie jak ja silną i zdrową. Byłabym za to wiele dała gdybym ją mogła wziąść na ręce i zanieść do jakiej ślicznej wioski, gdzieby znalazła wszelkie wygody i wszystko co mogłoby ją uszczęśliwić i przywrócić jej zdrowie, i gdzie także nie widywałaby pana Burrel, i nie miała przy sobie tych przeklętych listów które już tyle łez wycisnęły jej z oczu.

Niestety! nie było to w mej mocy, nie byłam nawet zdolną doglądać jej gdy była słabszą, i wszystkie moje pod tym względem starania były daremne. Niekiedy zamiast bawić się za domem jak inne dzieci, siadałam przy jej łóżku, ale wkrótce oddalała mnie od siebie, mówiąc że jestem, zbyt ruchliwą i chałaśliwą, że głos mój był za ostry, słowem że czyniłam jej więcej złego niż dobrego. Czułam się wtenczas bardzo, bardzo smutną i zniechęconą, i biegłam do mego pokoiku aby się wypłakać do woli.

Wiedziałam o tem dobrze że byłam chałaśliwą, pan Burrel powtarzał mi to dość często, ale boleśnie mi było pomyśleć że moja obecność wpływała szkodliwie na zdrowie matki, pomimo że będąc przy niej, starałam się usilnie zachowywać cicho i spokojnie. Kochałam ją tak bardzo!

Mama mówiła mi niekiedy abym jej coś przeczytała głośno. A! jakże byłam z tego dumną, z jaką radością biegłam po książkę. Na nieszczęście czytałam szkaradnie, gdyż nie odebrałam żadnego wykształcenia, i skoro jąkając się i zacinając przebąkałam kilka stronnic, mama kazała mi zawsze przestawać i położyć książkę na swojem miejscu. Mówiła mi zwykle wtenczas że byłam pod tym względem gorzej uposażoną od dzieci wyrobników, i że to bardzo bolesne dla matki, gdy widzi że dziecko jej nie posiada nawet niezbędnych w życiu wiadomości. Potem dodawała, że gdybym wiedziała jakie to ona życie prowadziła w domu swego ojca, zrozumiałabym prędzej co ona chciała powiedzieć. Ale to pewna że ja nie widziałam tego nigdy, i jak tylko mogę zasięgnąć pamięcią, matka moja była zawsze cierpiącą i smutną, ubolewała zawsze nad mojem nieokrzesaniem, i nad tem że niszczę tak wiele obuwia.

Muszę wyznać, choć mnie to kosztuje wiele, że te ubolewania nad mojem nieuctwem były całkiem usprawieliwione, w trzynaście lat umiałam zaledwie czytać i pisać, a i to jeszcze pozostawiało bardzo wiele do życzenia. Prawda że Betsy Mitchel nie umiała nic więcej i lepiej odemnie, więc moje nieuctwo nie ciężyło mi tak bardzo.

Przypominam sobie że w pierwszych latach naszego pobytu w Saltpool posyłano mnie do jakiejś szkółki, ale przez ostatnie dwa lata bujałam swobodnie pozostawiona zupełnie samej sobie. Przez całe dnie biegałam jak dzikie źrebiątko, a jeźli to ży-

cie na świeżém powietrzu, wpływało korzystnie na moje zdrowie, to z drugiej strony, niestety! zapomniałam wszystkiego czego nauczono mnie w szkółce. Miałyśmy bardzo małe mieszkanko, a że mama nie mogła znieść najmniejszego chałasu, ja i Betsy musiałyśmy tak w zimie jak w lecie, przepędzać całe dni za domem, wracałam tylko na obiad, który jadłam zwykle w kuchni, bo mamie szkodził zapach potraw.

Betsy Mitchel była miłą dziewczynką: miała czarne oczy i włosy, atwarzyczkę świeżą, rumianą, i podług mnie była ładną. Byłyśmy najlepszemi i nierozdzielnemi przyjaciółkami, i raz tylko pokłóciłyśmy się z sobą.

Betsy namówiła Tomma Miller, syna piekarza, aby mi powiedział że mam nos taki jak u pudla, a włosy rude.

— Gdyby moje włosy były rude, to i włosy mojej matki tak samo trzebaby nazwać, zawołałam z tryumfującą miną.

— Bo też takie są rzeczywiście, odpowiedział zuchwały chłopiec.

Nie przypisywałabym prawdopodobnie wielkiej wagi do niepochlebnego wyrażenia się o moim nosie, bo ja sama wolałabym gdyby nie był zadartym, lecz nie mogłam pozwolić na to aby ktoś przyganiał włosom mej matki, z których ja byłam tak dumną, które tak lubiłam głaskać; prócz tego odzywanie się niekorzystne o osobie chorej, nie mogącej zgromić napastnika jak na to zasługiwał, wydawało mi się przestępstwem godnem ukarania. Uderzyłam Tomma raz i drugi, z czego przyszło do prawdziwej bójki, w ciągu której moje małe ale silne piąstki dały się dobrze we znaki przeciwnikowi; uderzały na prawo i na lewo, dopóki Tommy Miller nie uciekł z płaczem do matki. Wtenczas ja także odeszłam z tryumfującą miną z placu walki, nie spojrzawszy nawet na Betsy Mitchel, która wywołała tę kłótnię.

Przez cały dzień nie przemówiłam do niej jednego słowa, ale skoro biedaczka wsunęła się do mego pokoiku kiedy już leżałam w łóżku, i przeprosiła mnie pokornie, nietylko że jej przebaczyłam zupełnie, ale jeszcze powiedziałam aby się położyła przy mnie, i przespałyśmy tę noc obok siebie jak dwie rodzone siostry.

Pomimo że biegałam i bawiłam się z dziećmi wiejskiemi, pomimo że byłam z nimi tak poufale jak gdyby byli moimi braćmi i siostrami, umiałam jednak zachować pewną wyższość nad niemi. Rozmawiając ze mną mówili do mnie: miss Doro, ale mówiąc o mnie nazywali mnie zawsze *panienką*.

Jakież to niestosowne życie dla dziecka pochodzącego z wyższych sfer społeczeństwa, spędzać dni w lecie na bieganiu i wdrapywaniu się na skały, dla wybierania jaj z gniazd wodnych ptaków, lub też leżąc całemi godzinami na trawie, bez innego zajęcia nad układanie wianków lub bukietów z polnych kwiatków! Jakżo to niewłaściwe dla panienki przesiadywać także dni całe w kuźni, w stodołach fermerów, a nawet w kuchni miejscowego oberżysty!

Przepędzałam czas tak samo jak dzieci rolników zbyt jeszcze młode aby pracować mogły, ale także próżniacze życie było dla mnie bezporównania szkodliwsze niżeli dla nich, gdyż byłam już w tym wieku że mogłam zrozumieć to, czegobym nawet słyszéć nie powinna. Te codzienne stosunki i zabawy z dziećmi młodszemi odemnie i należącemi do niższych sfer społecznych, uczyniły mnie imponującą i despotyczną, i nauczyły obchodzić się z moimi towarzyszami jak z niewolnikami, co przecież nie przeszkadzało iż nie raz poniżałam się do kłótni i sprzeczek, jak gdyby z równymi sobie.

We wszystkich tych wspomnieniach moich, mówię tylko o matce, dla ważnej bardzo przyczyny że ojca zupełnie nie pamiętam. Wprawdzie przypominam sobie jak przez mgłę, że kiedyś mieszkaliśmy w innej niż Saltpool miejscowości, i był tam z nami pan jakiś którego nazywałam papą; ale na tem ograniczają się moje wspomnienia, i dopiero niedawno dowiedziałam się że wówczas przebywaliśmy we Francyi. Gdyśmy się przenieśli do Saltpool, z początku kilkakrotnie zapytywałam matki co się stało z ojcem, ale zawsze odpowiadała mi na to że odjechał w daleką podróż. Poprzestawałam na tej odpowiedzi i w końcu zapomniałam, gdyż wtedy miałam najwięcej siedm lat. W pare lat potem gdy byłam już starsza, ponowiłam to pytanie, wtedy matka odpowiedziała mi że ojciec umarł i nigdy go już więcej nie zobaczę. Mówiła mu to jako nie bardzo przekonywającym tonem, ale zawsze potem tak gwałtownym zanosiła się płaczem, że nie śmiałam wracać do tego przedmiotu.

Pamiętam że dziwiło mnie to mocno że ani matka ani ja nigdy nie nosiłyśmy żałoby jak to widziałam u innych żon i dzieci w razie śmierci ojca i męża, — ale że brak ojca w niczem mi się uczuć nie dawał, gdyż zaledwie przypominałam go sobie, zatem przestałam o nim myśléć, i powiedziałam bawiącym się ze mną dzieciom w co wierzyłam sama, że mam już tylko matkę.

W miesiącu marcu, gdy właśnie skończyłam lat trzynaście, matka moja zapadła na ciężką chorobę, która miała mi ją wydrzéć. Ani przypuszczałam nawet że to choroba śmiertelna. Zawsze była mocno cierpiąca, wątła i delikatna, to też gdy zmuszona była się położyć, sądziłam że to silny katar na który tak często cierpiała. Pamiętam dobrze iż rano i wieczór wsuwałam się do jej pokoju zapytując jak się miewa i czy nie mogłabym jej co posłużyć,— odpowiadała że piersi bardzo ją bolą, ale że niczego nie potrzebuje.

Mistress Mitchel doglądała jej troskliwie i zalecała mi abym do pokoju chorej matki nie wpadała jak bomba i nie wylatała jak uragan, gdyż pan Burrel zalecał jak największy spokój,—a że spokój nigdy nic ze mną nie miał wspólnego, więc nie chcąc zaszkodzić matce, całe dnie biegałam po wsi. i tylko smutno mi się robiło na myśl że ona tak bardzo cierpi.

Dopiero już w dzień śmierci kochanej mojej matki, mistress Mitchel po raz pierwszy obudziła zaraz moją ciekawość i niepokój. Dnia tego chodziłyśmy z Betsy bardzo daleko i spóźniłyśmy się na obiad który spożywałyśmy zwykle w kuchni o pierwszej po południu.

— Będziesz musiała, miss Doro, poprzestać wraz z Betsy na resztkach jakie się znajdą w domu, zawołała mistress Mitchel, gdyż miałam tyle do czynienia przy twej matce, że niepodobno mi było nietylko ugotować obiad, ale i pomyśléć o nim.

— Mniejsza o to, odpowiedziałam siadając do stołu na którym postawiono resztki zimnego mięsa; tak jesteśmy głodne że wszystko nam smakować będzie. Ale jakże się miewa mama? Czy ją mniej bolą piersi?

— Tak, trochę mniej; ale doktór, jak mi się zdaje wcale się nie cieszy z tego polepszenia. Strasznie jest osłabiona, dodała, i dla tego zapewnie, zawezwano telegrafem jakiegoś drugiego gentlemana.

— Drugiego gentlemana? zawołałam wypuszczając z rąk nóż i widelec. A cóż jej przyjdzie z tego że ten gentleman przyjedzie?

— Jest on także doktorem: ale nie mów tak głośno, miss Doro, bo wszystko słychać w pokoju twej matki.

— Po cóż wzywać drugiego doktora? zawołałam znowu, kiedy już pan Burrel mamę leczy? Przecie każden z nich nie będzie mamie dawał innego lekarstwa?

— O! z pewnością nie, odpowiedziała mistress Mitchel z widocznem zakłopotaniem; nie zdaje mi się aby to być mogło; ale pan Burrel naradzi się z tym panem jak trzeba leczyć mamę.

— Czy mama bardzo chora, mistress Mitchel?

— Niech się Bóg opiekuje tobą, miss Doro!—Nie, nie jest bardzo chora, odpowiedziała, kładąc rękę na mej głowie, ale nie mogę rozmawiać z tobą dłużej, bo może czegoś potrzebować odemnie.

— Czy nie mogłabym tam pójść z tobą, mistress Mitchel, zapytałam pokornie, bo w jej głosie było coś takiego co mnie bardzo zaniepokoiło.

— Nie, miss Doro, odpowiedziała. Pan Burrel przykazał aby koło niej było bardzo cicho i spokojnie, lepiej więc pozostań tu, i zjedz obiad razem z Betsy.

Ale to czego dowiedziałam się od mistress Mitchel zupełnie mi odjęło apetyt, zaledwie też wyszła odepchnęłam od siebie talerz i pobiegłam do bawialnego pokoiku.

Nie mogłam zrozumiéć dla czego mama przyzywała do siebie drugiego doktora; chorowała często odkąd mieszkałyśmy w Saltpool, a jednak nic podobnego nie przyszło nikomu do myśli. Według mnie, być zmuszoną słuchać jednego doktora była to już ciężka próba do przebycia, ale wykonywać przepisy dwóch przechodziło siły człowieka, gdyż wyobrażałam sobie że kto ma dwóch doktorów ten musi także połykać podwójną dozę mikstur, proszków, pigułek i tym podobnych szkaradzieństw. Biedna, biedna mama!

W bawialnym pokoiku było bardzo zimno, gdyż zapomniano napalić na kominku, pozostałam tam jednak aż do nocy, siedząc skulona na kanapce i rozmyślając smutnie nad tem czego się dowiedziałam. Wyszłam ztamtąd zesztywniała prawie od zimna, weszłam cicho na schody, zbliżyłam się do drzwi pokoju matki, przyłożyłam do nich ucho, a że było zupełnie cicho, sądziłam że wejść mogę, ale zaledwie drzwi uchyliłam, pan Burrel stanął na progu.

— Czego tu chcesz, moje dziecko? zapytał łagodniejszym niż zwykle głosem.

— Chcę zobaczyć mamę, odpowiedziałam.—Pozwól mi pan wejść, przez cały dzień nie pocałowałam jej ani razu.

— Czy przyrzekasz mi, że jeżeli ci pozwolę wejść i pocałować ją to potem zaraz ztąd odejdziesz, wypijesz herbatę, i położysz się spokojnie spać, jak dobra i grzeczna panienka.

— Tak, przyrzekam.

— Ale czy mogę liczyć na twoje słowo?

— Ja nigdy nie kłamię, odpowiedziałam z pewną dumą.

Uspokojony tą obietnicą pan Burrel, otworzył cicho drzwi i wpuścił mnie do pokoju.

Obiecałam zachowywać się grzecznie i cicho, i dotrzymałam słowa. Zbliżyłam sie na palcach do łóżka matki. i czas jakiś patrzyłam na nią w milczeniu.

Leżała nieruchoma i zdawała się drzemać pomimo że oczy miała otwarte. Pochyliłam się ku niej

i pocałowałam ją leciuchno; wtenczas zwróciła ku mnie swe wielkie błękitne oczy i zawołała przerywanym głosem wpatrując się we mnie:

— Jeszcze nie czas! jeszcze nie czas! Wołałam, ale mi nie odpowiedziano... Ciemno, ciemno wszędzie... Czuję to choć widzieć nie mogę.

— Mamo! mamo, to ja, Teodora; zawołałam przerażona temi słowami bez związku.—Co mamie jest, panie Burrel?

— Nic, nic, moje drogie dziecię, odpowiedział kładąc rękę na moim ramieniu, i lekko ku drzwiom mnie popychając. Mama twoja ma trochę gorączki, i dla tego nie zawsze wie co mówi, ale jutro będzie już zdrowsza. Teraz przypomnij sobie swoją obietnicę, inaczej nie dozwolę ci tu wejść jutro.

— Pamiętam o niej, rzekłam schodząc ze schodów i płacząc gorzko, bo teraz już widziałam że choroba matki była cięższą niż katar, nie domyślałam się jednak strasznej prawdy.

O godzinie ósmej, kiedy zwykle kładłam się spać, mistress Mitchel weszła do kuchni; spostrzegłam zaraz że miała oczy zapłakane, i to zwiększyło jeszcze moją obawę.

— Mistress Mitchel, czego płakałaś? zapytałam z żywością.

— Ja płakałam! zawołała zmieszana, zkąd też myśl podobna mogła ci przyjść do głowy, miss Doro?

— Poznałam po twoich oczach że płakałaś, odpowiedziałam śmiało.—Czy mamie gorzej? Powiedz mi, powiedz prawdę.

— Boże błogosław to dziecko! wszystko odnosi do swej mamy. Nie, wcale nie gorzej. Czy nie słyszałaś co mówił pan Burrel, że jutro będzie lepiej, daleko lepiej.

— Ale dziś musi się czuć gorzej daleko skoro posłała po drugiego doktora.

— O! cóż to znaczy; nie mówmy lepiej o tym doktorze skoro cię to tak niepokoi. Teraz, miss Doro zrobię ci herbatki, jak mi to pan Burrel zalecił, a potem zaraz położysz się spać, i jutro, jeźli Bóg pozwoli, przyniosę ci dobre wiadomości.

— Dziękuję ci, mistress Mitchel, nie będę pić herbaty.

— Ale pan Burrel kazał.

— Co mi tam pan Burrel, zawołałam gwałtownie, nie jestem chorą, więc nie potrzebuję słuchaać jego rozkazów. Nie chce mi się jeść, nie będę jeść, i rzecz skończona.

Podejrzywałam ich że zmówili się z sobą aby mnie oszukiwać, i to czyniło mnie kłótliwą. Działali zapewnie w najlepszej intencyi, stosując się do zasady: Nie warto martwić się przedwcześnie, ale nie raz potem przychodziło mi na myśl że jest to źle zrozumiana dobroć, rozwijająca w nas nieufność, gdyż raz oszukani nie przywiązujemy później wiary do czynionych nam w podobnym razie nadziei, i często trapimy się niepotrzebnie.

Nie zmieniłam postanowienia co do herbaty, ale poszłam spać w zwykłym czasie jak to przyrzekłam panu Burrel, tylko odchodząc wymogłam na mistress Mitchel przyrzeczenie, że mnie obudzi gdyby stan zdrowia mamy pogorszył się jeszcze. Położyłam się i wkrótce głęboko zasnęłam; miałam dopiero trzynaście lat, i nie domyślałam się wcale jakie nieszczęście nademną wisiało.

Nie umiem powiedzieć jak długo spałam, ale to wiem z pewnością że żadna widoczna przyczyna nie wpłynęła na moje przebudzenie: i że natychmiast wszystkie wypadki dnia poprzedniego stanęły mi w myśli.

Matka moja była chora, i choroba jej była cięższa niż zwykle, posłano po drugiego doktora aby ją wyleczył. Zadawałam sobie pytanie która już mogła być godzina, czy ten drugi doktór już przybył; co powiedział o mamie.

Po chwili namysłu postanowiłam wstać i zasięgnąć o tem wiadomości. Wyskoczyłam z łóżka, włożyłam na siebie perkalikowy szlafroczek, wyszłam z pokoju i zatrzymałam się w sieni. Cicho było zupełnie; w sieni pierwszego piętra paliła się na stole świeca z długim pochylonym knotem, ale pomimo że przysłuchiwałam się bacznie przez kilka minut, nic nie usłyszałam; nikt nie przemówił, nikt się nie poruszył. Nagle drzwi się otworzyły i pan Burrel wyszedł.

— Panie Burrel jak się miewa moja mama?

Przeszedł jakby mnie nie słyszał, i zbiegł prędko ze schodów. Wtenczas niepokój przemógł we mnie rozwagę i zawołałam głośniej:

— Mistress Mitchel, mistress Mitchel! Jak się ma moja kochana mama?

Umilkłam nagle pomiarkowawszy się że postąpiłam nierozsądnie, po chwili mistress Mitchel wyszła śpiesznie z pokoju mej matki, miała oczy zaczerwienione z płaczu, i kazała mi wrócić do mego pokoiku.

— Ten drugi doktór już przyjechał miss Doro, rzekła do mnie cicho, powiedział że mama jest bardzo źle, i że nie można żadną miarą wpuścić cię do niej.

— Bardzo źle, powtórzyłam, więc gorzej niż była?

— O! proszę cię, drogie dziecko, nie zadawaj mi zapytań, odpowiedziała łkając, tylko wróć do siebie i leż spokojnie aż do rana.

— Mam leżyć spokojnie kiedy mama jest tak chora, zawołałam z oburzeniem. Nie chcę i nie mogę tego uczynić; pójdę zaraz do niej.

— To być nie może, odpowiedziała usiłując mnie powstrzymać, ten drugi doktór zalecił usilnie abyś nie wchodziła do jej pokoju.

— Puść mnie, puść mistress Mitchel, zawołałam wydzierając jej się z rąk, skoro mama jest tak chora, ja powinnam być przy niej.

Kończąc te słowa zbiegłam ze schodów i prędko drzwi otworzyłam. Zrazu zatrzymałam oczy na wysokim gentlemanie, który zwrócił się ku drzwiom kiedy wchodziłam, i stał wpatrując się we mnie. Zdumienie malujące się w jego twarzy przypomniało mi że jestem boso i nie mam na sobie nic prócz szlafroczka, zarumieniłam się na myśl że dostrzegł te wszystkie braki w mej toalecie, trwało to jednak zaledwie chwilkę, gdyż tak myśli moje jak oczy zwróciły się zaraz ku matce. Biedna moja mama leżała na łóżku bardzo blada, ale pomimo to bardzo ładna, tylko w jej całej postawie było coś takiego co mi nasunęło myśl że zemdlała.

— Panie, panie, zawołałam, czy pan nie widzi że mama zemdlała.

Przybiegłam do łóżka matki, uklękłam i uchwyciwszy jej rękę, zaczęłam silnie dłoń jej rozcierać, jak widziałam że to czyniono w podobnych razach, a przez cały ten czas, dziwny gentleman, stał nieruchomy i nie pomagał mi cucić mamy.

— Niechże pan przyniesie wody, albo wódki Kolońskiej lub cokolwiek takiego coby ją ocuciło, rzekłam zwracając na niego błagalne spojrzenie.

Pierwszy raz wtenczas spostrzegłam jak łagodny i sympatyczny był wyraz jego twarzy. Nie wymówił ani słowa ale spojrzał na mnie z takim smutkiem i współczuciem, że odgadłam straszną prawdę.

Powstałam nagle i puściwszy rękę matki pochwyciłam dłoń jego.

— Powiedz pan... powiedz... Było to wszystko co wymówić mogłam, ale i tak mnie zrozumiał.

— Już więcej cierpieć nie będzie. odpowiedział spokojnie.

Pomimo że umysł mój był jeszcze tak nierozwinięty, zrozumiałam co chciał przez to powiedzieć... Matka moja już nie żyła.

Był to cios straszny, nieprzewidziany; upadłam na kolana przy łóżku matki, i ukrywając twarz w dłoniach głośnym i gwałtownym wybuchłam płaczem.

Nie miałam już matki,—nie miałam,—umarła,—została mi wydartą; zostanie pochowaną na wiejskim cmentarzu, i nigdy już jej nie zobaczę, nie usłyszę już nigdy jej głosu. Nie, to niepodobno, nie mogłam temu uwierzyć. Ale po chwili zastanowienia straszna prawda znów stawała mi przed oczyma, i gorzkie łzy zaczynały z nich płynąć z podwójną gwałtownością. Nieznany doktór okazał się bardzo cierpliwym, nawet czułym dla mnie; teraz jednak umiem jeszcze lepiej ocenić jego dobroć i cierpliwość, jak naówczas.

— Czemu mnie tu nie przywołano? zawołałam z boleścią.—Trzeba mnie było uwiadomić że jest tak bardzo, tak niebezpiecznie chora.—Czemu pan tego nie zrobiłeś? Jestem jej córką; to okrutnie, to nieludzko tak zapomnieć o mnie.

Położył lekko rękę na mej głowie.

— Gdyby wyraziła życzenie zobaczenia córki, odpowiedział spokojnie, byłbym posłał natychmiast po ciebie, biedne dziecię; ale zabrakło jej na to czasu, straciła wkrótce przytomność umysłu, i nie odzyskała jej już wcale. Widok jej cierpień byłby jeszcze powiększył twój smutek.

Usłyszawszy te słowa znów płakać zaczęłam, ale już nie tak gwałtownie, uspakajało mnie to jakoś że czułam jego rękę na mej głowie.

W końcu osłabłam z płaczu, a źródło mych łez zdawało się już zupełnie wyczerpane, i cała drżąca wsparłam głowę na łóżku. Słyszałam że mistress Mitchel prosiła mnie z płaczem, abym się napiła trochę herbaty; słyszałam później głos doktora Burrel. przekładającego mi abym się uzbroiła w odwagę, abym się starała być spokojną, bo tego matka sama życzyłaby sobie z pewnością, ale słowa ich przelatywały bez skutku koło moich uszu, wtenczas nieznajomy doktór powiedział im aby mi dozwolili wypłakać się spokojnie. Dopiero kiedy widział że już prawie zupełnie z sił opadłam, i na chwilę przestałam płakać, podniósł mnie z ziemi i wziął na ręce jakby małe dziecko.

— Gdzie mnie pan wynosi? zapytałam cicho, widząc że mnie wynosi z pokoju.

— Do twego pokoju, na łóżko, odpowiedział; a choć nie miałam ochoty położyć się napowrót, nie stawiałam mu żadnego oporu, i wsparłam głowę na jego ramieniu.

Położył mnie na łóżku, przyprawił sam jakiś napój który mi kazał wypić, i pomimo że mi się zdawało niepodobieństwem abym spać mogła, zasnęłam w kilka minut później, i nie przebudziłam się aż rano.

(d. c. n.)

Opis do N-ru 36.

(Dokończenie)

N. 10—11. Koszula męzka dzienna z podwójnym gorsem. Krój gorsu na arkuszu N. XII, Fig. 56.

Podajemy model koszuli męzkiej bardzo praktycznej w podróży, przy której gors podwójny szyty jest w ten sposób, iż raz jedna to znów druga połowa może być zapięta na wierzch, przez co gors trochę przygnieciony lub nie świeży można zmienić nie zdejmując ubrania. Każda połowa gorsu przygotowana w odwrotnym kierunku z cienkiego płótna i podszewki, przyszywa się do koszul tylko od dwukropka do gwiazdki, dalej zaś jest puszczona luźno, dolne brzegi schodzą się równo i zapinają na guzik. Środkiem gorsu dana zakładka 1 cent. szeroka, przy której dane dziurki do zapinek.

N. 12—17. Serwetka ozdobiona wyszyciem i siatką gipiurową.

Model odrobiony na płótnie kanwowem liczy bez oszycia koronką 6 cent. szeroką, 128 cent. długości a 66 szerokości; kwadraty z siatki gipiurowej wszywane są w tło i otaczane wązkim szlaczkiem krzyżykowym podług. ryc. 17. Figury dane nad szlaczkiem wskazują na ryc. 13 do 14; podług ryc. 5—16 układają się kwadraty krzyżykowe.

N. 18—19. Serwetka na stoliczek lub na meble.

Całe tło wyszyte jest w powtarzający się deseń, wskazany w naturalnej wielkości na ryc. 19, dla tego też łatwo stosownie do potrzeby zmienić rozmiar serwetki. Zakończenie brzegów stanowi frendzla wiązana z nagłówkiem szydełkowym, zaczynającym się od łańcuszka, do którego przyrabia się w rzędzie 1-szym zajmując w odstępach trzech oczek 3 o. śc. przedzielone 3 o. pow. Drugi i 3 rząd zajmuje (zaczepiane za 3 o. pow. poprzedniego rzędu) 1 o. śc., 1 $1/2$ sł., 1 sł. 1 dwa razy nawinięty sł., 3 o. pow., 1 dwa razy na sł., 1 sł., 1 $1/2$ śc. i 1 o. śc. Frendzla liczy 13 cent. długości.

N. 24—25. Wszywka z tasiemeczki medaljonowej spajanej szydełkiem.

Tasiemeczkę naszywa się na papierze w deseń wskazany na ryc. 24 i obrabia z brzegów łańcuszkiem łączącym tasiemeczkę i słupkami. Pajączki szydełkowe zapełniające tło (patrz ryc. 25) zaczynają się od 7 o. pow. złączonych w kółko i obrobionych na przemian 3 o. śc. i 4 pow. tworzącemi pikot; każdy pajączek liczy 8 pikot, z których 4 w ciągu roboty zaczepione są za tasiemeczkę.

N. 28—29. Fartuszek formą bluzy, dla małych dzieci. Krój na arkuszu N. V, Fig. 24—26.

Ryciny 28 i 29 przedstawiają przód i plecy praktycznego fartuszka przykrojonego podług Fig. 24—26, z cienkiego perkalu, batystu lub piki, przyozdobienie stanowi brzeżek triming i wyszycie krzyżykowe. Fig. 24 daje połowę przodu, złożonego w kontrafałdy podług odpowiednich znaków; cienka prosta linja przestębnowanie fałd wskazuje. Gwiazdka i dwukropek oznacza przyszycie szarf po 15 cent. szerokich a 65 długich. Rękawki przykrojone podług Fig. 26, zmarszczone u dołu i wszyte w pasek 12 cent. długi zapięty na guziczek.

N. 30—31. Ubranie dla chłopczyka. Krój stanika na arkuszu N. IX, Fig. 44—48.

Ubranie dopełnione białemi majteczkami składa się z krótkiej plisowanej spódniczki i luźnego fałdowanego staniczka, przyciśniętego paskiem 4 cent. szerokiem. Spódniczka 22 cent. długa a 206 szeroka jest założona z przodu w fałdę 16 cent. szeroką, na około zaś zaplisowana w fałdy 3 cent. szerokie, zchodzące się w środku z tyłu; górny brzeg wszyty w prosty pasek, opatrzony dziurkami do zapinania na guziki dane przy brzegu spodniego staniczka. Stanik zwierzchni kraje się podług fig. 44—45, na fałdy przestębnowane w pasie, których szerokość oznacza linja prosta, trzeba naddać po 6 cent. materjału w środku pleców i przy brzegach przednich. Ubranie to było z weby w paski granatowe z białem, z gładkiemi plisami przyszytemi ponsowym sutaszem.

N. 32. Parawanik do zastawienia lampy w sypialnym pokoju. Robota wyrzynana i malowanie na drzewie deseń fig. 29.

Składa się z pięciu ścianek ozdobionych wyrzynaniem i malowaniem i związanych z sobą kokardami z wstążki. Fig. 29 na arkuszu z krojami podaje w naturalnej wielkości połowę ścianki wraz z deseniem wyrzynania i malowania; krzyżyki oznaczają miejsca do wypiłowania.

N. 34. Suknia z przemarszczanym stanikiem.

Do sukni popielatej jedwabnej wązka kamizelka, kołnierz wykładany i plisy u rękawów są z czarnego aksamitu. Oryginalnie przypięta kokarda jest z aksamitu 4 cent. szerokiej, spódnicę zdobią dwie falbanki plisowane po 20 cent. i trzecia 30 cent. szeroka. Tunika wysoka podpięta z boku, dopełniona jest z tyłu prostym brytem. Stanik z baskiną przedłużoną z tyłu frakowo ma przody zdobne wązkim aksamitnym plastronem i przemarszczeniem bardzo zręcznie przyozdabiającem figury szczupłe.

N. 35. Suknia biała muślinowa.

Ozdobiona wszywkami walansjenkowemi 3 cent. i koronczką 1 cent. szeroką; spódnica garnirowana suto falbanami układanemi w różny sposób, dopełniona tunikę podpinaną z boków i z tyłu. Długi stanik cały oszyty z muślinu i wstawek, zakończony falbanką, wykrój szyi otacza suta riusza.

N. 36. Fotel rzeźbiony, ozdobiony haftem.

Siedzenie i oparcie tylne w fotelu rzeźbionym ozdobnie z dębowego drzewa przykryte jest poduszkami pokrytemi granatowem suknem na którym dany haft włóczką hamburgską z aplikacją białego sukna.

N. 37—38. Zarzutka z rękawami pelerynowemi z perełek. Krój na arkuszu N. II, Fig. 9—11a.

Przód i plecy strojnej zarzutki przedstawionej na ryc. 37 i 38 przykrajane są podług fig. 9—10 z ciężkiego czarnego jedwabnego repsu na jedwabnej podszewce, zaś rękawy pelerynowe (krój fig. 11) dodane są z grubej siatki, z nawleczonemi perełkami i z muszkami szenelowemi nawiązanemi zwierzchu. Brzegi zakończa frendzla z perełek 12 cent. szeroka, stosownie do gustu siatka może być bez perełek, ale rękawy nie powinny być zastąpione jedwabnemi gdyż w takim razie zarzutka straciłaby oryginalność i szykowność. Wykrój szyi objęty 2 cent. szerokim paskiem od dwukropka do gwiazdki plecy dopełnione u dołu oddzielną częścią złożoną w kontrafałdę 14 cent. długą. Przybranie stanowi koronka 3 i 2 cent. szeroka otaczająca podwójnie końce szalowe a wykrój szyi sutą riuszą. Pasmanterja z perełek $2\frac{1}{2}$ cent. szeroka, przysłania przyszycie frendzli szenelowej z perełkami 15 cent. szerokiej, danej przy końcach przednich i u dołu pleców. Od spodu pleców przytwierdzone są długie końce z wstążki z przodu przeprowadzone na wierzch i związane w kokardę.

N. 41. Stanik bluzkowy z bretelkowem przybraniem.

Suknia z ciemno-zielonej satynki ma stanik bluzkowy przybrany jednakowo z przodu i z tyłu bretelkami złożonemi ze skosu tego co suknia materjału i oszytemi szerokim haftem maszynowym. Z tyłu z pod paska spuszczone są dwa szerokie pukle zastępujące karoczko.

Opis do N-ru 37.

N. 1 i ryc. 13 w N. 38. Ubranie z białego batystu.

Ryc. 1 i 13 przedstawia z tyłu i z przodu suknię batystową ozdobioną haftem, riuszami i falbankami plisowanemi. Długa baskina stanika rozchodzi się skośnie z przodu a z tyłu jest założona w pojedyńczą kontrafałdę. Na spódnicy wysoko zagarnirowane plisowanemi wolantami, na przednim i bocznych brytach upięta jest draperja z bryta prostego, podłużnych brzegów ozdobionego szerokim haftem, z poprzecznych sfałdowanego i na spódnicy przyszytego; z przodu ku bokowi podpięte kokardą ze wstążki kolorowej. Z tyłu upięcie ułożone, jest z dwóch bryców 57 i 60 cent. długich, z których górny jest w górze sfałdowany i razem ze spódnicą w pasek wszyty, dolny w bufę z krótkim końcem ułożony i na spódnicy przyczepiony.

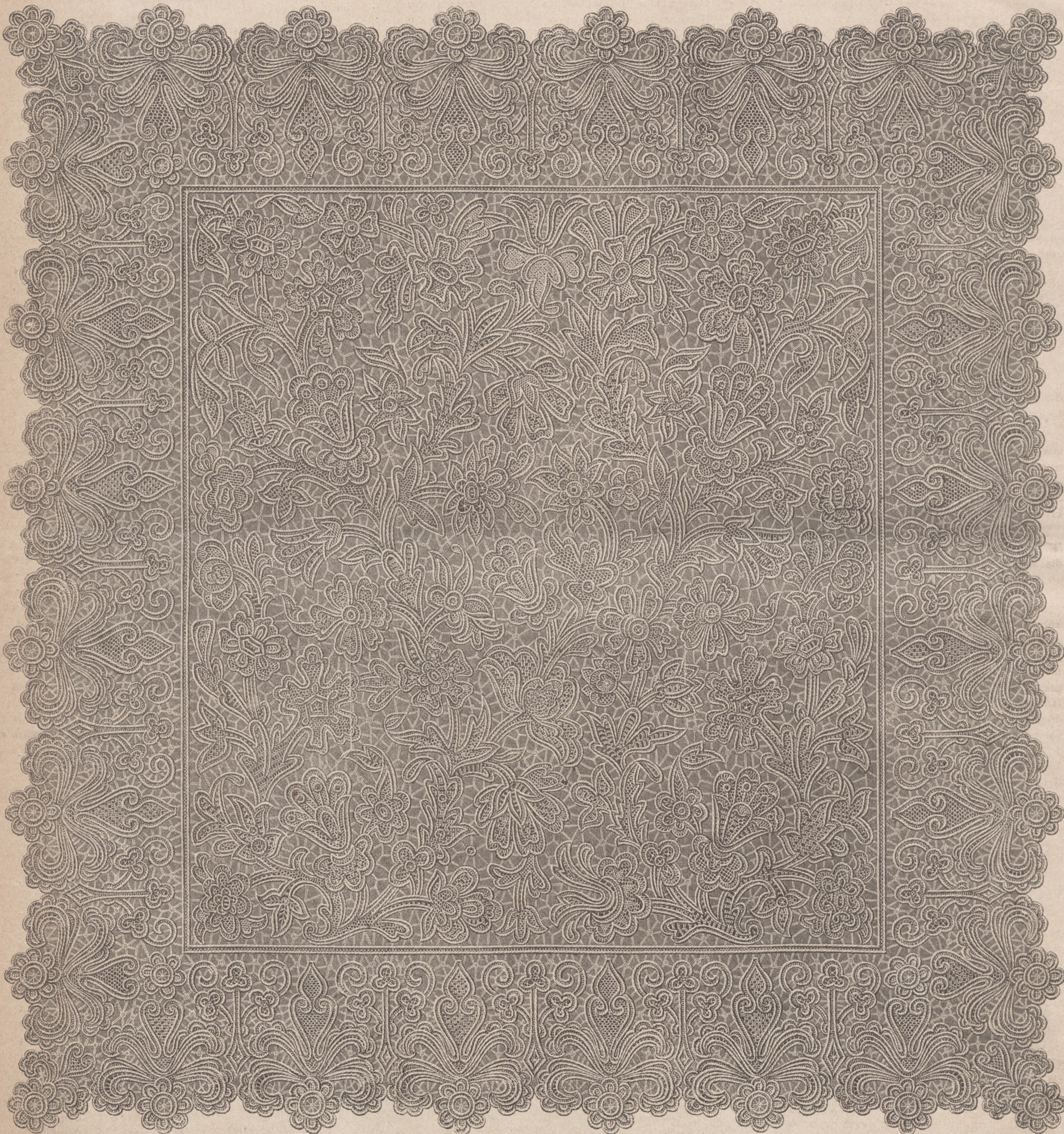


N. 1. Ubranie z białego batystu. Patrz plecy na ryc. 13 w N-rze 38. N. 2. Suknia z trenem. Patrz przód na ryc. 15, model tuniki na ryc. 16 w N-rze 38.

N. 2—15. i ryc. 16 w N 38. Suknia z trenem.

Do sukni z długim trenem, ozdobionej koronką i wstawkami z walensienki ozdobionej z kolorowego muślinku lub innego jasnego materjału, stanik zrobiony z ciemniejszego fularu w rzucik. Przód i boki spódnicy ogarnirowane dwoma 20 cent. szerokiemi wolantami i bufą 18 cent. szeroką, na którą zachodziła krótka, skośnie ułożona draperja. Długi tren oszyty kilku wązkiemi plisowanemi fal-

bankami. Ña ryc. 16 w N 38 dajemy wskazanie kroju draperyi *a*; oznacza część przednią górną, z brzegów z fałdowaną i od środka przodu na bok idącą dolny bryt *b*, jest także z podłużnych brzegów z fałdowany, skośnie przez przód i boki przeprowadzony i pod tylną draperją na spódnicy przyszyty. Tylna draperja składa się z części *c* i *d* z których pierwsza jest w kontrafałdę złożona i w pasek wszyta, niżej w odstępie 48 cent. przefałdowana i sposobem wskazanym na ryc. 2 na spódnicy przyczepiona a u dołu jeszcze z jednej strony w pukiel podwinięta; część *d* fałduje się w górze dwa razy podług znaków, przyczepia i upina na spódnicy niżej; końce tych brytów zręcznie się układa i nieznacznie kilka ściegami do trenu przyczepia.



Ñ. 3. Serweta do przykrycia stołu. Haft ,,alliance.“

N. 3. **Serweta** do przykrycia stołu. Haft alliance.

Ryc. 3 przedstawia piękne i trwałe przykrycie stołu, robione na ponsowym szwajcarskim perkalu, jedwabiem grubym, potrójnym, surowym i siodlarskim białym.

Ṡposób roboty opisany był w Ñ. 31 Tygodnika Mód przy ryc. 27. Dla braku miejsca nie możemy dać deseniu na serwetę w naturalnej wielkości, lecz podług ryc. 3 i ryc. 24—27 w N. 31, łatwo będzie można takowy odrysować i odpowiednie ściegi i kratki dobrać. Nadmieniamy jeszcze że prawie wszędzie przy większych figurach desenia kontury są dwa razy w odstępie $1/2$ cent. sposobem wskazanym na ryc: 24 obrobione, a obrobienia następnie kratką złączone.

N. 4-6 i ryc. 44-45 w N. 38. **Serwetka** robotą krzyżową i ściegiem pojedyńczym, oraz robotą wiązaną (macramé).

Modele serwetki robionej na płótnie kanwowem, miały 58—60 cent. w kwadrat, oprócz torsady 3 cent. i frendzle macramé 15 cent, szerokiej, haft odrabia się w prost na płótnie jedwabiem ponsowym, zajmując pod każden krzyżyk 2 nitki w kwadrat; a na narożniku ryc. 6, wskazana jest zarazem naturalna wielkość krzyżyków i rzadkość płótna, szlak robi się $6^1/_2$ — 7 cent. od brzega, podług wzoru podanego na ryc. 44. rozliczywszy dokładnie ażeby kwadraty schodziły się ze sobą w rogach, sposobem wskazanym na ryc. 4; za szlakiem zrobić narożniki podług ryc. 6. Wąziutki szlaczek z brzegu serwetki, odrabia się podług ryc. 5, na płótnie podwójnie założonem do spodu co zastępuje obrąb. .Frendzlę z torsadą macramé albo szmuklerską przyszywa się ściegiem dzierganym.

N. 7. i ryc. 41 w N. 38. **Czepek** dla osoby w podeszłym wieku.

Fason czepeczka stanowi podwójny pasek sztywnego tiulu mający 58 cent. długości, 7 środkowej a 3 brzeżnej szerokości, zeszyty w kółko i objęty z brzegów wązką, kolorową wstążeczką, do którego wszywa się podwójne denko tiulowe, spodnie z cienkiego czarnego, zwierzchnie z białego jedwabnego tiulu w muszki. Zewnętrzny brzeg czółka ogarnirowany dwa razy w rurki układaną koronką bretońską, 5 cent. szeroką; resztę czółka przykrywa 15 cent. szeroki, skośny, w fałdki złożony kawałek surach.

Z tej samej materyi prostej, podwójnie złożonej upięte są kokardy 16 cent szerokie, których pukle mają 10, a końce koronką garnirowane 17 cent. długości. Szerokie szarfy mogą być z materyi lub z tiulu.

N. 8. Kapelusz dla młodych panien.

Kapelusz z cienkiej, białej, angielskiej słomki,



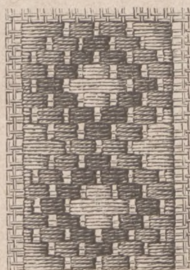
N. 7. Czepek ubrany materyą „surach" dla dam w podeszłym wieku.

miał główkę nizką pokrytą w bufki przemarszczaną białą krepą, rondko podszyte niebieską materyą a ubranie z niebieskiej, 4 cent. szerokiej wstążki i girlandki różowych stokrotek.

N 11. Sukienka z vêtement paletocikowem, dla małej panienki. Zobaczyć plecy na ryc. 19 w N-rze 38.

Dziecinne ubrania robią się także z chustek kolorowych ze szlakami, których na taki kostium potrzeba dwie, jedną na luźny paletocik, drugą na przyszytą do niego fałdowaną, 16 cent. długą spódniczkę i na rękawy.

Na modelu tło było blado paljowe, drobne muszki ciemno ponsowe, a szlak z takich stopniowo powiększonych centek. Kamizelka ułożona w drobne fałdki, duży wykładany kołnierz i wypustki, dane były z ciemno ponsowego kretonu; kokardy z wstążki 4 cent. szerokiej, falbanki białe haftowane, guziki podłużne ponsowe.



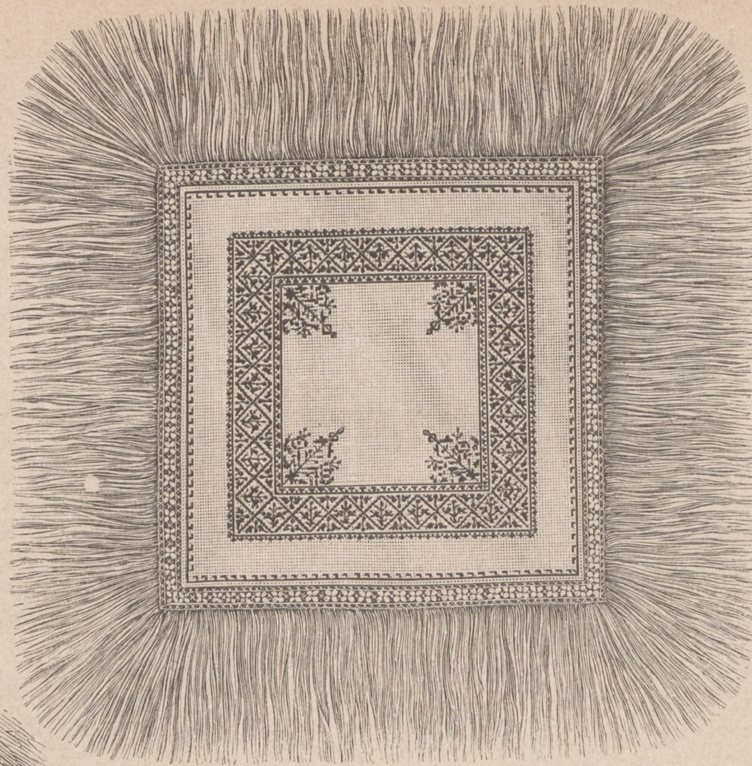
N. 9. Szlak robiony ściegiem gobelinowym na kanwie do ryc. 40 w N. 38.



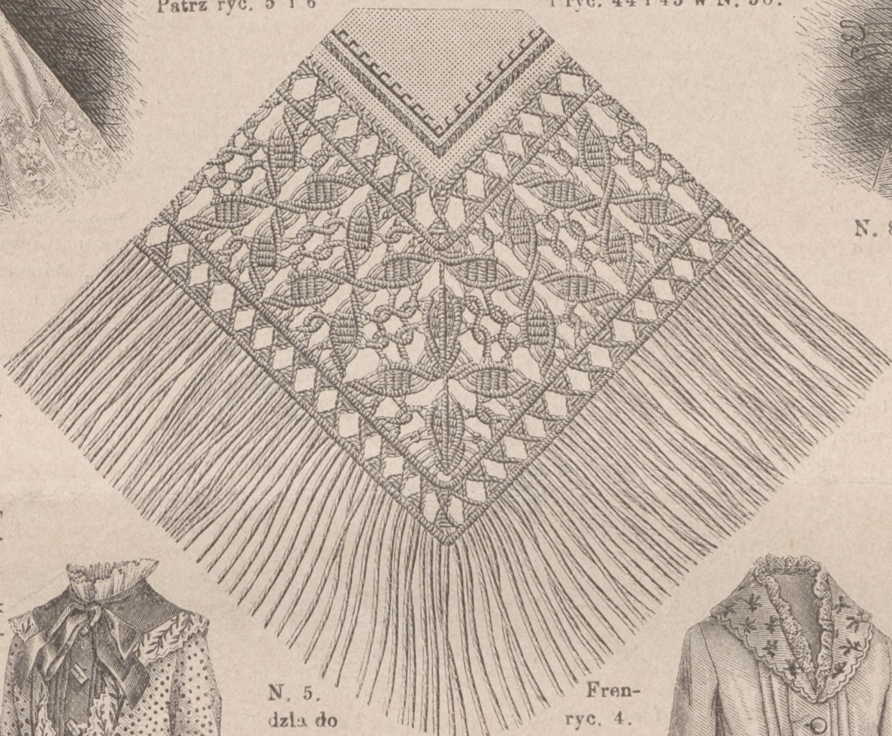
N. 11. Suknia z vêtement paletocikowem dla małej panienki. Patrz plecy na r. 19 w N. 38.

N. 12—14. Bluza i spódniczka fałdowana dla małej dziewczynki. Zobaczyć plecy na ryc. 21 w N 38.

Bardzo dogodnie dla małych dziewczynek ubranie składa się ze spódniczki prosto krajanej, ułożonej w równe 8 cent. szerokie kontrafałdy, przyszytej do spodniego gładkiego, wyciętego staniczka, i z luźnej, na spódniczkę opuszczonej, bluzy ozdobionej z przodu stębnowanemi zakładkami. Marynarski z przodu podłożnie wycięty kołnierz mankiety i szlak u spódniczki mogą być ozdobione rzucikiem, wyszytym bawełną kolorową, podług próbek ryc. 13 i 14, albo haftem krzyżykowym, w sposób wskazany na ryc. 21. Na modelu obie sukienki zrobione były z białej piki.



N. 4. Serwetka na stoliczek. Ścieg krzyżowy i pojedynczy. Patrz ryc. 5 i 6 i ryc. 44 i 45 w N. 38.



N. 5. Frendzla do ryc. 4.



N. 13. Rzucik do ryc. 12.



N. 14. Rzucik do ryc. 12.

N. 8. Kapelusz dla młodych panienek.

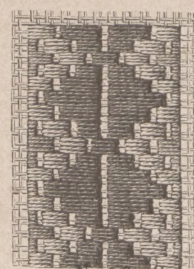


N. 12. Bluzka i spódniczka fałdowana dla małej dziewczynki. Patrz ryc. 13-14 i ryc. 21 w N-rze 38.

N. 16 i 29. Ubranie neglużowe ozdobione koronką. Zobaczyć model kroju na ryc. 42 w N 38.

Obadwa szlafroczki zrobione były z miękiego materyału na cienkiej muślinowej podszewce, którą kraje się podług formy, stanika, bez zaszewek; wierzch zaś kilka razy przemarszczony u góry i w pasie podług miar podanych na ryc. 42. Do przodów dodaje się materyału na marszczki w szerokości ramion, a do pleców w środku. Miejsca zmarszczek oznaczone są na ryc. 42 punkcikami.

Model do ryc. 16 odrobiony był z deseniowego fularu z garnirunkiem z nicianych koronek i materyału w paski. Ryc. 29 przedstawia szlafroczek z blado niebieskiego, „surah" ubrany żółtawą langwedocką, 7 cent. szeroką koronką i szlakami haftowanemi na żółtawym batyście, które zdobią 14 cent. szeroki, koronką garnirowany kołnierz, 8 cent. szerokie mankiety, i stanowią 12 cent. szeroki szlak przy spódnicy, oszyty w górze wązką koronką.



N. 10. Szlak robiony ściegiem gobelinowym do ryc. 40 w N. 38.



N. 11. Suknia z trenem. Patrz przód na r. 2 i r. 16 w N. 38.

N. 17. Szlaczek. Ścieg pojedynczy i krzyżykowy.

N. 6. Narożnik do serwetki rycina 4. Ścieg krzyżykowy i pojedynczy.

N. 18. Szlaczek. Ścieg pojedynczy i krzyżowy.



N. 16. Ubranie neglużowe ozdobione koronką. Przód na r. 29 model kroju ryc. 42 w N. 38.

N. 19—23. Modele ozdobnych metalowych szpilek.

Tak dziś modne szpilki do włosów i do przyozdobienia kapeluszy wyrabiane są w najrozmaitszych co raz nowych kształtach, kwiatów, broni różnej, tarczy, podków, gwoździ, lub różnych amblematów. Młode osoby szpilkami z różnych metali przypinają do włosów bukieciki świeżych kwiatów, które jeszcze przewiązane bywają wstążką. Poważniejsze damy używają kwiatów robionych do złudzenia naśladujących naturalue, oddając do nich pióra strusie marabout lub pięne liście jak na r. 22 i 23 w N 38..

N. 19. Bukiecik ze świeżych kwiatów przepięty szpilką metalową.

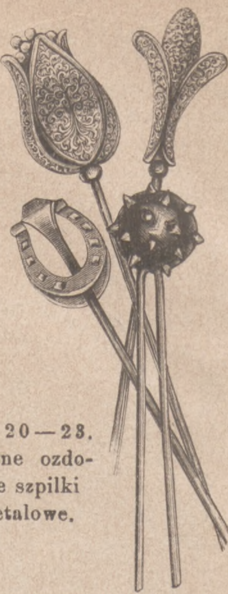
N. 24—25. Dwa spacerowe ubrania dla małych pazienek. **N. 24. Ubranie** z otwartym paletocikiem i okrągłym kapeluszem.

Sukienka z niebieskiego zefiru; ozdobiona była wstawkami i szlaczkami haftowanemi dwa i pół trzy i pół cent. szerokiemi. Z pod otwartego paltocika związanego tylko przy marynarskim kołnierzu, kokardą ze wstążki, widać kamizelkę przemarszczaną, zapiętą na guziczki. Spódniczka cała ułożona w kontrafałdy. Kapelusik okrągły ze słomki białej i niebieskiej, ubrany fularową chusteczką w krobki niebieskie na tle białem, ze szlaczkiem w rzucik czarny, żółty i niebieski.

N. 24—25. Ubrania spacerowe dla małych dziewczynek. N. 24. Ubranie z okrągłym N. 25. Ubranie z kapeluszem pamelą.

N. 25. Ubranie z paletocikiem zapiętym i kapeluszem pamelą.

Do paletocikiem z białej w drobną kostkę flanelki wstawiony z przodu plastron z białego surah, fałdowany podłużnie; z tego samego materyału dana górna część wykładanego kołnierza i ubranie przy mankietach. Guziki złote. Biała słomkowa pamela, podszyta marszczonym atłasem i ubrana rozetami z wąziutkiej. i kokardami z szerokiej białej wstążki.



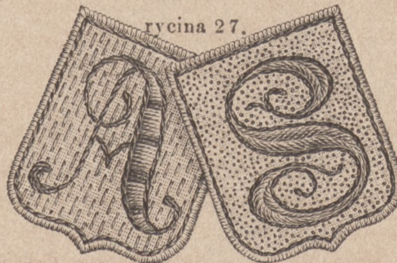
N. 20—23. Różne ozdobne szpilki metalowe.

N. 26—27. Kufereczek ozdobiony haftem zaplikacją.

Kufereczek do robót, drobiazgów toaletowych; albo nabiżuterje, mający 32 c. długości, 26 szerokości, a 18 wysokości, pokryty był z wierzchu niebieskim aksamitem, wewnątrz wybity niebieskim, lekko podwatowanym atłasem. Wierzch wieka z dobiła aplikacja z czerwonawo brunatnego i niebieskiego atłasu, obwodzona sznureczkiem złotym na tle atłasowym koloru vieil-or, deseń na nią podamy na następnym arkuszu z krojami. *d. n.*



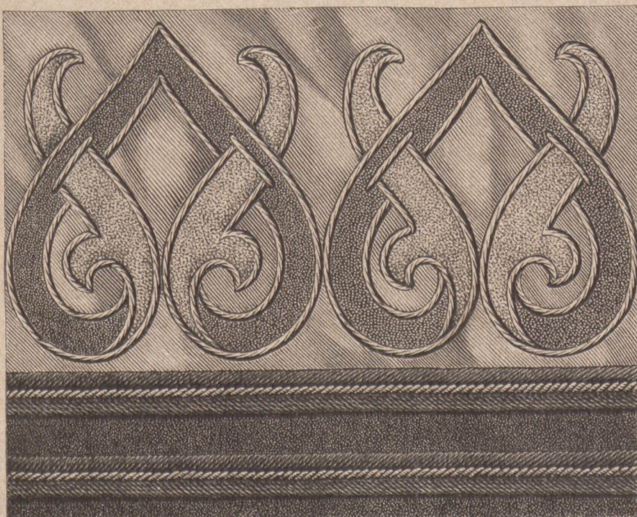
N. 26. Kuferek ozdobiony aplikacyą i haftem. Patrz szlak w naturalnej wielkości rycina 27.



N. 28. Litery do haftu na chustce do nosa. Haft atłasowy biały i różne ściegi kolorowe.



N. 29. Szlafroczek ranny ozdobiony haftem i koronką. Plecy na ryc. 16, krój podług ryc. 42 w N-rze 38.



N. 27. Szlak do kufereczka ryc. 26. Aplikacya i haft.



N. 30. Szlafroczek ozdobiony haftem białym i krzyżowym.